

752

834

834. D

+

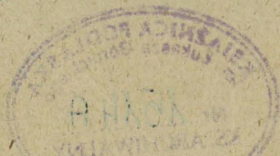
833 D.

122 - VI

22

X

ypre ent

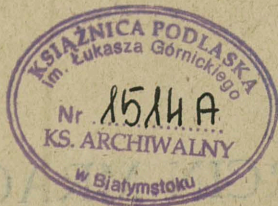


52578

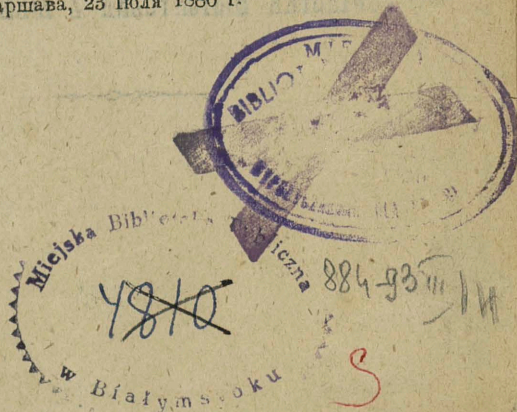
MARCIN MRAŁA.

POWIASTKA HISTORYCZNA Z ZIEMI KASZUBSKIEJ.





Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Июля 1880 г.



Wstęp

POWIASTKI HISTORYCZNE DLA MŁODZIEŻY I LUDU NASZEGO.

PRZEZ

Józefa Grajnera.

Wyszły już 3 Książeczki; 4-ta się drukuje. Cena każdej Książeczki po kop. 10 w miejscu. Razem za 4 Książeczki kop. 40 w miejscu, pocztą kop. 50, a dla prenumeratorów Zorzy i Opiekuna o 10 kopiejek taniej.

Książeczka I-sza zawiera: Dwaj Bracia Litwini (z wojen Sobieskiego z Tatarami) i O Księżu Dymitrze Wiśniowieckim i o Hryciu Rusinie, z czasów wojny polskiej z Wołoszą).

Książeczka II-ga mieści: Przygody Czecha Tomaszka (z wojen króla Władysława Jagiełły z krzyżakami i z bitwy pod Grünwaldem); oraz Dzielna Dziewczyna (z czasów napadów Szwedzkich na Polskę).

Książeczka III-cia obejmuje: Słynne przygody Marcina Mrągi Kaszuba — w czasie powstania miast pruskich przeciwko krzyżakom.

Książeczka IV-ta opiewa: Dziwne przygody Lorka Szlązaka (za czasów Łokietka i wojen szląskich).

Nabywać je można u wydawcy i autora podpisanego. Józef Grajnert N. 18 ul. Wspólna w Warszawie.

Są do nabycia w Redakcyi Zorzy i Opiekuna Domowych i pożytecznych zwierząt (N. 18 ulica Wspólna). Książeczki p. t. Miesiąc Maryi przez X. Germana Grabowskiego. Cena kop. 30 z przesyłką kop. 36. (Można nadsyłać i markami pocztowymi.) (N. 18 ulica Wspólna.)

SŁÓWKO WSTĘPNE O KASZUBACH.

Nim się dowiecie o ciekawych przygodach na ziemi i na morzu jednego Kaszuba, trzeba wprzód wam opowiedzieć, gdzie to leży kraj Kaszubów, co za jedni ci Kaszubi, jak Pana Boga chwalą, czy są szczęśliwi, czem się zajmują, jak żyją, i czem oni mogą Polaków obchodzić? A więc posłuchajmy, co nam ludzie świadomi mówią i co książki piszą o nich, a może z tego, co się tu dowiecie, przekonacie się, jak niesłusznie ich przedrzwiewają Mazury lub Podlasiaki, i jak niesłusznie człowieka sobie nieprzyjemnego szrydnie przezywają: „E! to niezdarny Kasiuba!“

wstępn.

I.

Gdzie leży kraj Kaszubów? Do jakiego narodu należą? Jakie były ich dzieje? Jakie miasta i wsie Kaszubów?

Tam, gdzie szumi morze Bałtyckie w podłuż ziemi na jakie mil sto a może i więcej, jest kraj nazywający się Pomorzem, bo nad morzem leży. Pomorze to przechodziło różne koleje doli ziemskiej i dzieliło się na różne kraiki; zrazu całe ono należało do Polski, bo też mieszkał w niem lud ten sam, co i w całej Polsce.

Część tego Pomorza, jadąc od Warszawy Wistą ku morzu, za Gdańskiem na lewo, nazywa się Kaszuby: jest to kraik długi na 10 mil wzdłuż a 8 w szerz; oblany u góry morzem Bałtykiem; na lewo odgranicza go rzeka Słupia (po niemiecku Stolpe), na dole wypływa z niego rzeka Fersa a na prawo od ziemi Gdańskiej oddziela go rzeka Radaunia. Dzisiaj na Kaszubach są takie powiaty: labyborski, bytowski, wejrowski, kartuski i kościerzyński, razem pięć; a cały ten kraik należy do najpię-

kniejszych okolic dawnej Polski, bo ma on i prześliczne równiny, po których wiele rzek i strumieni przepływa; ma rzędy pagórków dość wysokich, na których mile zielenieją gęste lasy, a tam znowu u góry błyszczy nieprzejrzane okiem morze, po którym wspaniale pływają okręty. Jest tam naprzykład góra Karola pod miastem Oliwą, lub kępy Rurawska i Oksefska, z których można daleko różglądać się po niebie, po kraju i po falach morskich; a kto tam wejdzie, ten myśli, że widzi precudowny raj, o jakim tylko we śnie można zamarzyć. Podobnie i okolica miasta Kartuz tak jest prześliczna ze swojemi rzekami, wzgórzami i lasami, że z bardzo dalekich stron przybywają wędrowcy cudzoziemscy po to tylko, aby się nacieszyć temi pięknymi widokami.

Więc, jak się rzekło, Kaszuby należą do tego samego plemienia co i Polacy; siedemset lat temu, całe Pomorze a więc i Kaszuby należały do króla polskiego, ale później, kiedy się kraj podzielił na księstwa między dzieci królewskie, więc i Pomorze miało osobnego księcia, z razu jednego a potem i więcej. Nie upłynęło tak i sto lat, aż sąsiadujący Niemcy zaczęli się wciskać na Pomorze, a pomagali im do tego sami książęta, co chętnie lgnęli do niemieckich obyczajów. Lud kaszubski wzięty we

dwa ognie, bo przez rycerzy niemieckich i przez własnych swoich książąt, przechodzić musiał częściami pod władzę Niemców, a przez to coraz więcej tracił polskie obyczaje i psuł powoli na sposób niemiecki czystą swoją mowę. Nie z całą jednak ziemią kaszubską tak się działo; bo Kaszuby tak zwane Górne, to jest bliżej Wielkopolski leżące, prawie do ostatka zostawały przy Polsce. Blisko trzysta lat temu, kiedy zjawił się Luter założyciel ewangelickiej wiary, Kaszubi bliżsi ku Niemcom przyjęli tę wiarę; ci zaś, co byli bliższymi ku Polakom, pozostali wciąż katolikami. Ztąd też są Kaszubi ewangelicy i katolicy.

Kiedy książęta pomorscy wymarli, wtedy król polski Władysław Czwarty, cały kraj Kaszubów, jako należący mu się słusznie, złączył pod swoją władzę. Będzie to temu lat dwieście z górą; ale niedługo brat jego król Jan Kazimierz po długich wojnach odstąpił, choć nie na zupełną własność, dwa powiaty kaszubskie: labyborski i bytowski margrabiemu brandenburgskiemu, co miał kraje tam, gdzie dziś miasto Berlin i Brandenburg leżą. Z tych margrabiów powstałi potem królowie pruscy, i już też przy nich zostały do dziś dnia te dwa powiaty kaszubskie, do czego i inne ziemie przyłączyli Prusacy.

Reszta Kaszub, to jest 3 powiaty wejrowski, kartuski i kościerzyński zostawały wciąż przy Polsce; ale kiedyś, będzie temu sto kilka lat, pierwszy raz podzielono kraj polski, wtedy i ta reszta Kaszubów przeszła pod panowanie niemieckie Prusaków.

Nazwa Kaszubów pochodzi od krótkiego kozucha czyli szuby, która jest zszytą z dwóch tylko skór owczych; w takich kaszubach lud wszystek tam chodził dawniej, rozumie się, że sami mężczyźni, a w wielu miejscach i dotąd jeszcze tak tam chodzą porą zimową. Jedna taka skóra okrywa przód a druga tył ciała, na podobieństwo ornata, tylko że kozuch taki ma przyszyte rękawy, a na piersiach na guziki się spina. Ludzie zaś chodzący w kabatach czyli kapotach, a mieszkający w kilkunastu wsiach nad jeziorem Letskiem, kabatkami się zowią.

Jak powiedzieliśmy wyżej, lud Kaszubów pozbywał się powoli w niektórych stronach swojej mowy ojczystej, polskiej, swoich zwyczajów a nawet i wiary pierwotnej. Że powiaty labyborski i bytowski wcześniej podległy Niemcom, więc też tam najwięcej jest niemieczyny, tak, że dziś takich, co po kaszubsku mówią i ubierają się, jest w tych dwóch powiatach tylko przeszło 9 tysięcy

Reszta zaś ziemi kaszubskiej nie pozbyła się jeszcze dawnej swej natury; razem takich Kaszubów liczą dzisiaj do dwustu tysięcy. W tych stronach, gdzie jeszcze są katoliccy księża, tam też i mowa dawna, ojczysta kwitnie; bo choć mężczyźni uczą się tylko po niemiecku w szkołach a w wojsku tylko niemieckiej komendy słuchają, ale za to kobiety z radością słuchają polskich kazań i śpiewów po kaszubskich, katolickich kościołach. Najsilniej w powiecie bytowskim niemczyzna panuje; są tam, co prawda, cząstki starych obyczajów niemal w każdej wiosce, ale po kaszubsku mówi tylko starsze pokolenie, i natura ich ojczysta idzie z nimi do grobu; lecz chociaż starcom smutno widzieć znikanie rodzinnej mowy, jednakże znoszą to jakoś bez szemrania. W kartuzkim jednak powiecie jak niemniej w kościerzynskim i wejmarskim jako w stronach, gdzie są księża katoliccy, cała ludność wiejska po kaszubsku mówi, tak dalece, że i w samym mieście Kościerzynie i po wsiach nietylko, że nie wstydzą się dziś Kaszubi mówić narzeczem swem polskiem, ale wracają do swych starodawnych obyczajów i ubiorów. Kaszub jest rączy do pracy i wytrwałym, bez fałszu i obłudy; mówi też o sobie swoją polską mową: „Kaszub idzie *prowdą* a *Bodziem* (Bogiem) i mówi każdemu *w oczę*, co

o nim *meśli*, prosto z *gore*, jak *ciejby siecierą rąbał* (jak kiejby siekierą rąbał).“

Większe miasta na Kaszubach są: Puck, Ląbybór, Bytów, Wejrowo, Kartuzy, Kościerzyn, Białybrzeg czyli Belgrad. Miasto Puck leżące nad morzem, już 600 lat stoi; a za dawnych czasów polskie okręty przy niem odpoczywały; była też tam i twierdza bardzo silna, której Szwedzi zdobyć nie mogli. Miasto Wejrowo leżące nad rzeką Radonią, zostało wybudowane przez wojewodę polskiego Wejhera, dwieście lat temu; był to pan bardzo nabożny; najprzód też budował na chwałę Panu kościół z klasztorem księży Reformatów, a potem założył tak zwaną Kalwaryę, na podobieństwo tej góry, gdzie Chrystusa Pana pod Jerozolimą umęczono. Do tej Kalwaryi i na odpust do kościoła Reformatów, gdzie jest cudowny obraz Wniebowstąpienia Pańskiego, zbierało się na odpusty do 30,000 ludu, a i dziś nawet z bardzo dalekich stron polskich do 15 tysięcy pobożnych na odpusty do Wejrowa się schodzi. Kiedy rząd pruski skasował ten kościół z klasztorem, wtedy Kaszubi zebrali między sobą składkę 7,000 talarów, co czyni naszych złotych 42,000 i wykupili kościół od tegoż rządu. Tym sposobem i nadal chwałą tam Kaszubi Pana Boga i cześć Mu oddają. W tem mieście

znajduje się jeszcze szkoła wyższa, to jest gimnazjum jedyne na całych Kaszubach, gdzie można i polskiej mowy uczyć. Miasta te prawie wszystkie Prusacy przezwali po niemiecku, i tak na przykład: Kościerzyn nazwali Behrendt, Labybórz Laenburg, Wejrowo Nejsztad. To samo i z wsiami się stało, które jednak lud wiejski po dawnemu tam nazywa: Stojencin, Brzeziny, Studzienice, Żernowice, Budów, Chmielno, Jesion i t. d. tak jak rzeki: Słupia, Laba, Radonia.

II.

O mowie Kaszubów, o ich obyczajach, zwyczajach i zatrudnieniu.

Mieliśmy już dowód tak z dziejów jak i z nazwisk miast, wsi i rzek, że Kaszubi jednego są plemienia z Polakami, a teraz przekonamy się jeszcze lepiej z ich mowy, o tem.

Mowa Kaszubów jest mową polską, a szczególnie na Kaszubach górnych, to jest w stronach Kartuz, Wejherowa i Kościerzynia, Kaszuba tak prawie mówi jak włościanin z Kaliskiego albo z Poznańskiego. Na dolnych Kaszubach więcej potracają o niemieczynę, i tak: zamiast dwadzieścia cztery, mówią tam cztery dwadzieścia i przeciągają słowa w wymówieniu. Mieszkańcy nad morzem, dolni Kaszubi, mówią: beli zamiast byli, i nazwani są Belokami. Inne słowa mawiają tak: Poloch (Polak) Kaszeba (Kaszuba), kile (kilka), zemia (ziemia), chtery (który), dzece (dziecię), sebe (siebie), dawneho (dawnego), wucho (ucho), woko (oko)

wojciec (ojciec), won (on), jem (jestem), sieciera (siekiera) i t. p. Każdy Kaszuba rozumie Polaka jak rodaka swojego; bo też i polski język dawniej trochę był odmienniejszy od teraźniejszego. Kaszuba nie czyta innych ksiązek do nabożeństwa jak tylko polskie, a księza katolicy z ambon i przy spowiedzi do niego przemawiają czystą polszczyzną. Jak drogą jest polska mowa dla Kaszubów, widzimy i z tego, że nawet Kaszuby ewangelicy, którzy się jeszcze nie zniemczyli, nazywają język polski językiem świętym; w domu też u każdego Kaszuby znajduje się Biblija święta po polsku pisana i kazania polskie; a starsi dotąd odmawiają pacierz polski i pieśni nabożne śpiewają w czystym polskim języku. Polak także zrozumie dobrze mówiącego Kaszubę, a szczególnie Kaszubę górnego; trochę trudniej jest zrozumieć Kaszubę dolnego; jednakie też z nimi polacy miewają nazwiska, bo i Kaszubi nazywają się: Mucha, Żaczek, Mrąga, Nowak, Jawor, Pstrąga, Kowal i t. p.

Lud wiejski mieszka w chatach podobnych do innych, jakie widzimy w polskim kraju; tylko że u Kaszubów chałupy mają od przodu chlew z bramą w środku, którą przechodzi się na dziedziniec, gdzie dopiero jest dom mieszkalny.

Pożywieniem ich groch, kasza, kartofle, klu-

ski, a w święta mięso zazwyczaj wieprzowe na sposób niemiecki, które najwięcej lubią; nad morzem morska ryba stanowi najsmaczniejsze ich pożywienie. Chleb pieką z mąki zmielonej na wpół z żyta na wpół z jęczmienia: jest to chleb czarny, twardy, ciężki i niezdrowy, ale zębom nadaje białość błyszczącą. Zwyczajnem ubraniem Kaszuba są: wielkie trzewiki z podwójnemi podeszwami, mocno podkute, które kładą na pończochy grube, wełniane, zachodzące aż do kolan; dalej krótkie płóciennę spodnie, krótki kaftan czyli harnieja i okrągła futrzana czapka, na wierzchu suknem pokryta. Od święta ubierają się zamiast kaftana w kamizelkę ciemną, uszytą bez żadnych fałdów, podobnie jak i gdzie indziej w Polsce; na wrębach zaś czerwone ma obszycie i zapinana jest na haftki zamiast guzików. W zimie wdziewają na wierzch ową krótką szubę owczą, o której już mówiliśmy. Bótów, czyli po staropolsku skórni, rzadko używają; ale w zimie okrywają nogi aż do kolan grubemi kamaszami. Rękawiczki noszą bardzo strojne: są one tkane z różnokolorowej wełny, a około pięści ładnemi frezdlami ozdobione. Szyi tak jak i u polskich wieśniaków niczem nie okrywają, choćby w największe mrozy. Kaszubki noszą koszule fałdowane gęsto na piersiach i zachodzące aż pod szyję,

a spódnice białe lub czerwone. Stanik czarny, pół wełniany domowej roboty, na przodzie kolorową wstążką sznurowany, okrywa piersi kobiety. Na święta wkładają na to kabacik także czarny, krótkawy, zapinany na haftkę. Włosy plotą we dwa warkocze i obwiązują je w około głowy; dziewczęta prócz tego kładą na takie warkocze najprzód białą zwitkę, a potem stroją je w kołpaczek na dłoń wysoki, sztywny, i często przyozdobiony czerwono. Meżatki pod nagłówkiem noszą biały czepek z wystającymi suto gęstymi falbankami. Jeżeli wielkie święto przypada lub w czasie przystąpienia do Kommunii świętej, albo do grobu na Wielkanoc, to kobiety ubierają głowę w czapkę (mykę); na to biorą płócienny czepek z denkiem okrągłym, a na czepek obońcę (płachtę) białą jak mleko i spiętą pod brodą tak, że okrywa całą osobę aż do kolan; pod płachtą zaś mają kabot czyli kaftan aż do pasa, ściągnięty grubymi krajkami, potem krótką spódnicę; na nogach zimą i latem noszą wełniane nogawice, to jest pończochy i bóty czyli trzewiki.

Widzimy więc, że strój mężczyzn a szczególniej kobiet kaszubskich, jest to dosyć ładny a przynajmniej bardzo staranny.

Ludy zamieszkałe nad morzem Bałtykiem za dawnych czasów bardzo wiele ucierpiały w woj-

nach, już to od Prusaków i Litwinów, już też co najwięcej od rycerzy niemieckich, którzy jak to mówią, niebo i ziemię poruszali, aby tylko zagłodzić w sąsiedztwie swoim plemiona polskie. Nikt między Kaszubami chętnych do żartów, do śpiewów i do tańców nie znajdzie; na weselu tylko czasem Kaszubi przyjdzie ochota do tańca, a jeżeli też kiedy i zaśpiewa, to tylko pieśni nabożne lub też i świeckie ale króciutkie, urywkowe i nie bardzo wesołe śpiewki. Bliżej granic Wielkopolski, w kartuzkim i kościerzyńskim powiatach, Kaszub zarówno z Wielkopolanami wesoło bawić się i śpiewać umie.

Tak więc Kaszuba ubogi, smutny, uprawiając ziemię piaszczystą lub lesistą, najwięcej teraz żyć lubi na ustroniu i wyprowadza się rad z wioski za zdarzoną sposobnością, aby sobie gdzie pod lasem wybudować osobną zagrodę. Kiedy zaś mieszkają razem we wsi, lub w domach, złożonych z kilkudziesięciu osób, to rodziny między sobą żyją w świętym spokoju i zgodzie, bo natura Kaszuba jest łagodna, otwarta, a dusza bardzo pobożna. Ztąd też w kościołach modlą się i słuchają kazań z wielką pokorą, wielce szanują swoich księży lub ewangelickich pastorów, a po cmentarzach na nagrobkach są napisy piękne o przyszłym życiu mówiące. Przeto

téż między Kaszubami nie ma kłótni, pomstowań i skarg po sądach. W ogóle wieśniacy kaszubscy słyną z poczciwości i dobroci; a chociaż dla obcych, cudzoziemców, są oni mrukliwymi, niedowierzającymi, niechętnymi, nieuczynnymi i niegościnnymi, to za to przed swoim Kaszub do niepoznania zmienia się nagle, otwiera dla takiego swój dom i serce, sadza go gościnnie za ubogim swym stołem i każdą przysługę uczynić mu jest gotowy. Poczciwość tego ludu jeszcze lepiej w tém się poznaje, że tam nigdy drzwi choćby i w nocy nie zamykają na zamki, bo ani o kradzieży, ani o oszustwie nie ma tam słuchu; a jeśli biedny, zgłodniały Kaszub czasem weźmie co komu, to tylko chyba jakiś kawałek chleba, a nigdy pieniędzy lub drogich rzeczy. W ogóle obyczaje Kaszubów są nie zepsute, a wierności małżeńskiej nie naruszają nigdy; dziewczęta téż bardzo pięknie, moralnie się prowadzą, słowem, uczciwie żyją.

W głowie Kaszuba jeszcze jest bardzo ciemno, bo téż tylko jedna na cały kraik jest szkoła polska w Wejherowie; ale przyznajcie sami, że i w Kaliszanie, Mazury, Podlasiaki, Krakowiacy, Rusini nie bardzo jaśniej od Kaszuba na świat patrzycie, choć tutaj i więcej jest szkółek i więcej na około was jest uczonych ludzi Polaków. Kaszuba prędkoby

się wielu rzeczy nauczył, bo nie jest leniwym, i cokolwiek obaczy, uczy się tego łatwo; te zaś tylko mają tam wady, że w chałupach swoich tak samo jak i u innych polskich wieśniaków nie przestrzegają czystości i porządku, i co jeszcze gorsze! że zbyt do kieliszka zaglądać lubią, co jeszcze ich do większej biedy prowadzi. Że Kaszuby nie mają wiele roli dobrej pod zboże, ale za to dużo błót, lasów, piasków i wód, więc téż najwięcej oddają się handlowi i spekulacyi; przeto kto tam zarobi talara, zaraz myśli jakby można sprowadzić drugiego do kieszeni. Handlują zaś rybami, smołą, drzewem lub wynajmują się na tratwy, a za dawniejszych czasów nie mało Kaszubów służyło i na polskich okrętach i na wojnę morską z nimi wyciągało.

Całe gospodarstwo po ojcu przechodzi tam na starszego syna, a ten za to musi wybudować dla pozostałych braci lub sióstr chałupę, która się tem różni od innych, że już nie ma chlewu z bramą na przodzie, ale stoi przy samej drodze. Z tego to wynika, że jedni synowie są zamożniejsi a drudzy ubodzy.

Zwyczaj Kaszubów przy chrzcinach, ślubach i pogrzebach, bardzo są podobne do zwyczajów innych stron Polski, co jeszcze więcej jedno ich po-

chodzenie z Polakami potwierdza. Przy pogrzebach dochowuje się tam zwyczaj z czasów jeszcze pogańskich: że jak kto umrze, to wszyscy krewni dają mu w podarunku do trumny, to chustkę, to rękawiczkę, to promień włosów, to jaką spinkę lub pierścion.

Wesela zazwyczaj odbywają na zimę przed świętym Marcinem, i prawie zawsze w jeden tylko dzień, najczęściej we wtorek. Zaprosiny na wesele tak jak i gdzieindziej składają do wiersza; przy zamówinach rodzice dziewczyny nigdy nie przyrzekają dać jej posag, zapewne dla tego, że Kaszubi są bardzo ubodzy; ale prawie zawsze panna młoda, jeżeli nie jest w zupełnej nędzy, w podarunki musi się zaopatrzyć. Przed zaręczynami swojemu narzeczonemu daje ona koszulę, spodnie, chustkę do nosa i na szyję, parę pończoch i parę rękawic, a przy ślubie po raz drugi składa mu chustkę do nosa i na szyję. Także i każdemu z krewnych pana młodego i księdzu podarować musi narzeczoną po parze rękawiczek; żeby zaś na tyle podarunków się przygotować, dziewczyna wcześniej zbiera wełnę i robi zapas rękawic, bo czasem ich i 30 par rozdać potrzeba.

Ojcu narzeczonego przysła synowa także podarować musi koszulę, chustkę na szyję i do nosa,

oraz rękawice, a matka cztery łokcie szlązkiego płótna, każda zaś z zamężnych siostr po dwa łokcie a niezamężne po łokciu. Ale i narzeczonny nie jest wolny od podarunków; przy zamówinach daje on narzeczonej dwa łokcie cienkiego płótna, parę trzewików i talar lub kilka srebrnych talarów. Ojciec i bracia narzeczonego także coś z pieniędzy przyrzucają dla niej; prócz tego ojciec narzeczonej dostaje od narzeczonego czapkę futrzaną, każdy z braci po czapce, a każda z sióstr po łokciu czarnej tkaniny wełnianej na kaftanik. Matka panny nie dostaje, bo uważanoby to za uchybienie dla niej jako dla gospodyni domu.

Ma się rozumieć, że jak wyposażenie tak i te podarunki między bardzo ubogimi Kaszubami, ze wszystkim są skąpiej odbywane.

W zakończeniu wspominam tu o pewnym czcigodnym księdzu, dla którego Kaszubi wdzięczność niewygasła mają. Nazwisko jego Mrongowius, a był on pastorem w Gdańsku wtedy, kiedy rząd pruski na całych Kaszubach rozkazał skasować polską mowę, tak, że w kościołach księżom katolickim zabroniono przemawiać po polsku i uczyć o zbawieniu duszy z polskiego katechizmu. Smutek i oburzenie powstały na całych Kaszubach, ale pastor Mrongowius i inni księża katolicy taką krzywdą

poruszeni, udali się do króla pruskiego i tyle swoim mądrym wstawieniem się okazali, że przywrócono napowrót polski język do nauk po kościołach i parafijach, a nawet potem dozwolono go używać i w szkole do pomocy dla uczenia się niemieckiego języka. Tak było przez pewien czas...

Pastor Mrongowius, bardzo uczony człowiek, nie mało pożytecznych książek polskich napisał.

Dodamy jeszcze, że dziś tak na Kaszubach, jako też w Księstwie Poznańskim i na Szlązku, w skutek niedawnych praw tak zwanych majowych, bo w maju wydanych, wiara katolicka doznaje wiele surowości od władz pruskich.

I.

MARCIN MRAŁA.

POWIASTKA HISTORYCZNA Z ZIEMI KASZUBSKIEJ.

I.

O tem, co się stało nad morzem w czasie
okropnej burzy?

O pół mili od morza Bałtyckiego leży wieś Smolsin nad jeziorem Gardęńskim, w kraju kaszubskim. Przed czterystu latami nikomu się jeszcze o tej wsi ani śniło; było tam tylko pustkowie, to jest chałupa, chlewek z obórką i ogródek niewielki; ale rzecz smutna! w obórze, chlewku i w chałupie pusto było i głucho jak w grobie. Czy tam wszystko zaklęte? Czy zaraza jaka wymorzyła tam ludzi i bydła? O! nie było tam ani zaklęcia żadnego, ani zarazy, a jednak wielkie nieszczęście nawiedziło tę chatę. Mieszkał niedawno w niej stary rybak, wdowiec, którego zwali Paweł Mrąga, a który przez pół roku obłożnie chorował i umarł pocieszając się tem, że zostawił dorosłego już syna Marcina, co był tak dobrym, tak

uczciwym chłopcem, a przyzwoitym i pobożnym, jak tylko sobie każdy ojciec pragnąć może. W czasie tej choroby Marcinek na leki i na pogrzeb musiał powoli sprzedać bydlatko i parę sztuk trzody chlewnej tak, że teraz po śmierci ojca został się sam jeden, sierota, jak mówią, by kołek w płocie. Prawda! został mu się po ojcu dubas, to jest łódź rybacka dębowa i siatka na ryby, co też było jego jedynym majątkiem.

Niedaleko za tem pustkowiem świeciło się owo jezioro, które bardzo wąską smugą wody łączyło się z morzem, a zresztą było tak okrągłe, że jakby kto z wierzchołka sosny na nie patrzył, to wydałoby mu się jak ogromny biały, wydęty pecherz. Po brzegach dokoła jeziora szumiały rzadkie dęby stuletnie, a tak ogromne i grube jak największe beczki; siadały na nich morskie ptaki i kanie, co to wiecznie dżdzu pragną.

Tego dnia było jakoś pochmurno i wiatr ostry szumiał od morza; bo też to był październik, a jesień nad morzem to nie nasze pogodne, ciepłe babie lato; u nas, dalej od morza, latają wtedy świecące pasma pajęczyn nad ziemią, a tam nad morskimi falami huczą w tej porze wiatry i szare chmury pędzą jak szalone po niebie.

Dnia tego Marcinek wyjechał na swoim duba-

sie jeziorem ku morzu, ale jakoś nic mu się nie darzyło: czy to woda głębsza była, czy też że wiatry mocno jezioro wzburzyły, dość że już się wieczór zbliżał, a on ani jednej ryby nie złowił! Założył jeszcze raz siatkę, i kiedy znowu nic nie ułowił, zmartwiony okropnie, usiadł pod dębem dla odpoczynku i oparłszy głowę na dłoń, zadumał się smutnie i głęboko. Był to chłopiec lat może dziewiętnastu, dobrego wzrostu, ubrany był w harnieję, to jest kaftan sukienny z czerwonym obszyciem; na tem miał kaszubę, to jest kożuszek z rękawami, ale z boków nie był wcale zszyty, tylko jedna skóra była na plecach a druga z przodu, i tak spięty pod szyję ubrany był zwyczajem wszystkich Kaszubów, co w dniu zimne prócz kaszuby mieli jeszcze na głowie czapkę barania z wierzchem sukienym. Z pod tej czapki spadały jasne włosy Marcinkowi aż na ramiona silne i otaczały pięknie jego młodą twarz, zdrowiem rumianą.

Kiedy tak odpoczywa i duma, na morzu tymczasem coraz większy wiatr się zrywa, morskie fale huczą tak straszliwie, jakby sto brytanów na łańcuchach zawyło. Coraz też już ciemniej było na świecie. Niedługo dało się słyszeć od strony morza kilka wystrzałów z fuzyi, raz, potem drugi i trzeci.

— Boże wszechmogący! — zawołał Marcinek

wstając z pod dębu, pewnie ktoś tonie i wzywa pomocy; a jeśli to kto obcy, to i drogi nieświadom do łądu i na skały wpaść może!

Nie namyślając się potem wcale, skoczył na dubas i pchnawszy się kilka razy mocno wiosłem o wodę, wypłynął na otwarte morze. Bóg to wie, jak on tam mógł płynąć, bo wiatr łódkę tak kolebał i rzucał jak piórkiem jakim. On tymczasem posuwając się co raz dalej, nieustraszenie wołał:

— Ho ho, ho! sam! do mnie! I pomimo że bałwany morskie zlały go już do nitki, on się suwał w stronę, gdzie się coś nieopodal czerniło na morzu; aż też po chwili spostrzegł i okręt. Na okręcie wysoki maszt leżał połamany, żagle były pozrywane i ster pęknięty: więc też już nie mógł płynąć w tę stronę, jak ludzie okrętowi chcieli, tylko wiatr nim rzucał do woli na wszystkie boki. Kiedy już pod okręt podjechał Marcinek, wtedy zawołał, aby z okrętu do jego łódki wsiadano. Rzucano mu tedy linę, on ją przytrzymał i niedługo z wielkiem niebezpieczeństwem spuściło się po niej do łódki kilkunastu ludzi. Na drugą łódkę, co przywiązana do okrętu razem płynęła, wsiadło resztę ludzi. Marcinek kazał wprzód jeszcze rzucić do swej łódki z okrętu kilka wiosel, aby więcej rąk pracować mogło, i tak zwijając się piorunem i nie

puszczając liny z ręki, wiosłował wraz z drugim ku ładowi. Lina niezmiernie długa i gruba, uwiązana dobrze na okręcie, tym sposobem ciągnęła się za łódką z okrętu, a on tymczasem omijając skały podwodne, jako znający dobrze brzegi morskie, przybił do łądu; za nim i druga łódka zdążyła. Kiedy już razem do 40-stu ludzi na brzeg wysiadło, Marcinek zawołał:

-- Lina się już kończy; ciągnijmy ją teraz wszyscy razem, bo szkoda okrętu, żeby miał przepaść rozbiwszy się gdzie o skały przy brzegach.

Ciągnęli więc dalej na ląd linę mocną konopną i z ledwością mogli ją dociągnąć do pierwszego, grubego dębu, jaki stał o kilkadziesiąt kroków i około niego obwiązali ją mocno. Już była noc na dobre, kiedy burza morska się przesiliła, wiatry i fale powoli huczeć przestały, a miesiąc daleko z ciemnych chmur zaczął wypływać.

Wszyscy się wtedy rozglądali po sobie. Było tam ze trzydziestu jakichś panów, owiniętych w czarne płaszcze, a kiedy wiatr płaszcz któremu odwinał, to błysnął mu krótki miecz z za pasa. Reszta byli to majtkowie okrętu. Ale między wszystkimi panami odznaczali się najbardziej trzej nieznajomi, podobni sobie do siebie jak trzy krople wody. Stali oni na przodzie, mieli jednakowe

płaszcz, jednakowe brody ciemne i jednego byli wzrostu.

— Dzielny chłopcze! odezwał się z nich jeden po niemiecku do Marcinka, dziękujemy ci serdecznie; gdyby nie twoja zręczność i odwaga, to kto wie, czybyśmy już do tego czasu nie mieszkali z rybami na wieki. Nikt z nas drogi morskiej w tych stronach nie zna. Jechaliśmy z Gdańska do Królewca, a burza w przeciwną stronę nas zagnęła.

Ale znać szwargot niemiecki nie wpadł mile w kaszubskie uszy Marcinka, bo spojrzał z pod czoła na nieznajomego i mruknawszy coś z cicha po polsku, chciał iść w swoją stronę. Wtedy nieznajomy pan usłyszawszy to pomruknięcie polskie Marcina, odezwał się znowu, ale już czysto mu po polsku dziękował.

Wtedy Marcinek odezwał się tak:

— Miły Boże! a czy taki rybak wartby był życia, coby się bał burzy i nieszczęśliwym nie szedł na pomoc?

— Podobasz mi się chłopcze! rzekł znowu nieznajomy, nietylko z samej odwagi.

Po chwili zapytał go znowu:

— Jesteś Polakiem?

— Tak, jestem polskim Kaszubą, odpowiedział Marcinek.

Nieznajomy przypatrywał mu się z zadowoleniem, a potem prosił go, czyby im gdzie nie wskazał przytułku na noc.

Marcinek poprowadził ich do swojej zagrody i tam usłał im do spania mchu leśnego, bo słomy nie miał ani źdźbła w całym swym gospodarstwie.

Nazajutrz pod przywództwem Marcinka przyciągnięto z wielką pracą okręt do brzegu; majtkowie wynieśli z niego różne wędliny z ryb, z mięsa beczółkę wina. Wszyscy zgłodniaли uraczyli się hojnie.

Kiedy majtkowie udali się do pobliskich wiosek, aby zaradzić naprawie okrętu, nieznajomy pan zdjął płaszcz z siebie, stanął w pośrodku innych panów, co także płaszcze poskładali, a wszyscy byli z uszanowaniem dla niego, i wszystkim miecze u boku błyskały.

Tak on przemówił do Marcinka:

— Widzę chłopcze, że jesteś biednym, sierotą, że masz i serce dobre i duszę poczciwą. Dla tego posłuchaj, co ci opowiem, a może się zgodzisz na moją radę. My wszyscy, których tu widzisz przed sobą, jesteśmy Prusacy zrodzeni na tej ziemi, co ją rycerze krzyżacy królowi zabrali. Dziś

wszystka szlachta pruska i mieszczenie chcą się znowu z królem Janem Kazimierzem złączyć; to też namyśl się bracie! czy chcesz z nami wojować przeciwko Krzyżakom?

Marcinek zagadnięty tak niespodzianie, zmieształ się z razu, a potem zapytał:

— Gdyby nie jedna przeszkoda, to zabrałbym się zaraz z panami; ale cóż? ztąd się oddalić nie mogę. Dłużny oto jestem z zagrody ojcowskiej ssyp i daninę księciu panu do Słupi, a święty Marcin za pasem; to też muszę na to wszystko zapracować, aby, jak to jest prawo, dwa razy więcej za karę potem nie składać.

— O to mniejsza, rzekł nieznajomy, zapłacimy za ciebie, coś winien, tylko trzeba ci wiedzieć, że kto raz zaciągnie się do wojny, ten na rozkaz, jak trzeba, i na koniec świata pójść musi.

— Ha! dusza rwie się do świata, rzekł Marcinek. Dziej się wola Boża! to i pójde gdzie wypadnie.

Nieznajomy podał mu rękę; uścisknęli się obadwaj szczerze. Wszyscy nieznajomi tak samo go uścisknęli. Potem rzekł nieznajomy:

— Teraz idę do Słupi do twojego pana, bo mam z nim pogadać o różnych rzeczach, a to coś

winien z czynszu, ja mu zapłacę. Zostańże z Bogiem i czekajże, aż powrócę.

Do miasta Słupi, które w tych czasach było znacznie większem niż dzisiaj, gdzie też był i zamek ogromny murowany, w którym mieszkał książę, do miasta tego od zagrody Marcinka było trzy mile. To też na drugi dzień nieznajomy był już z powrotem.

29

Marcin w baraniej czapce jedzie na Kujawy. Co Marcin dokazał na dereszcu w wojnie pruskiej pod Chojnicami? I po co był wysłany do miasta Malborka?

— Nie spodziewałem się Marcinku, rzekł, żebyś mi był tak prędko potrzebnym. Oto widzisz, okręt nasz już naprawiony, jedziemy znowu dalej morzem, a tymczasem trzeba mi ciebie posłać do jednego, co mieszka ztąd aż na Kujawach, w mieście Brześciu. Oto masz pieniądze na drogę i ten list, który oddasz panu wojewodzie. Śpiesz się więc i w pierwszej zaraz wiosce kup sobie konia, a nigdzie się nie zatrzymuj!

— O! niech się pan nie lęka, zawołał Marcin, przecież Pan Bóg człękowi nie od kształtu głowę stworzył.

Nieznajomy dodał te słowa przy pożegnaniu:

— Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze!

Za chwilę Marcin już był w gaju, śpiesząc

31

drogą ku wiosce dla kupna konia. Potem rzekł nieznajomy do jednego z rycerzy:

— Teraz, ty bracie Gabryelu, nie tracąc czasu musisz zaraz pojechać do Torunia; ty zaś bracie Ściborze, pośpieszysz co tchu do Kalisza, bo w obu tych miastach na was z niecierpliwością czekają. Po chwili dwaj bracia ruszyli każdy w swoją stronę. Wkrótce też i nieznajomy pan z resztą rycerzy pośpieszył na okręt.

Trzeba tu jeszcze dodać, że w Toruniu na Gabryela czekał Jan Koniecpolski kanclerz polski, to jest trzymający pieczęć całego Królestwa Polskiego, a w Kaliszu znowu oczekiwał na Ścibora biskup kaliski, co zwał się Ostroróg. Ten, który tak Marcinka i braci swoich rozsyłał, nazywał się Hans Bajzen, a był on panem i rycerzem pruskim, tak jak i jego bracia.

W owych czasach nietylko w Polsce ale i na całym świecie jeszcze poczt nie było; u nas dwieście jest lat temu, jak król Władysław Czwarty po całym kraju pierwszy urządził pocztę.

Więc też pocztą w owych dawnych czasach byli posłańcy, co pieszo i konno za interesami biegali po kraju. Marcin w pierwszej zaraz wiosce kupił sobie konika, wsiadł oklep na niego i dobrym kłusem puścił się w drogę. List zaszył sobie w czap-

kę za barankiem. Miał przytem jeszcze drugą czapkę i schował ją w torbie, co była przewieszona na koniu, ale to już niewiadomo dla czego? Im dalej jechał, tem coraz większy ruch napotykał w miasteczkach: mieszczanie pruscy ostrzyli zarzewiałe szable i miecze, inni próbowali strzelb, lub też dosiadali koni. Mieszczanie ci nie napastowali go wcale: każdy kto spojrzał na niego i na jego szubę baranią zszytą z dwóch skórek, uśmiechnął się tylko, bo poznał w nim pocziwego Kaszubę. Mieszczanie ci pokazywali mu od miasta do miasta drogę do Brześcia Kujawskiego.

Tak przebył wiele wsi, lasów i kilka miasteczek; miasto Bytów przejechał także szczęśliwie, bo tam Krzyżaków nie było. Ale kiedy mijał miasto Tuchol, tam już coraz więcej widział rycerzy krzyżackich, jak się po drogach snuli w swoich białych płaszczach z czarnymi krzyżami, z pod których błyszczały im zbroje stalowe i miecze. W okolicach miasta Chełma zobaczył z lasu, jak drogą ku niemu jechało kilku Krzyżaków i między sobą prowadziło jakiegoś mieszczanina pruskiego, którego nielitościwie bili płazami swych mieczów.

— Ho! źle, pomyślał Marcin, tu trzeba mieć uszy do góry i oczy na wierzchu.

Po chwili na zakręcie lasu zdjął z głowy swą

czapkę futrzaną, w której miał list i rzucił ją opodal od traktu, w gęstwinę, a natomiast szybko wyjął inną z torby i głowę nią nakrył. Uciekać zaś w las nie chciał, zapewne z obawy, żeby mu to może jeszcze na gorsze wyszło. — Za parę pacyerzy już miał przed sobą krzyżaków. Poskoczyli do niego i nuż go się pytać o coś niemiecką mową; ale kiedy Marcin ich nie rozumiał, kazali mu zejść z konia i przejrżeli jego manatki. Poczęstowali go potem kilku szturchańcami i pojechali dalej z owym związanym mieszczaninem. Kiedy już odjechali dosyć daleko, wtedy Marcin zawrócił konia i pamiętając dobrze miejsce, gdzie czapkę rzucił, zsiadł i po chwili w gęstwie ją znalazł. Przejechał dalej szczęśliwie i piękne wielkie miasto Toruń, co leży nad Wisłą, gdzie znowu Krzyżaków ani poświecić, tylko mieszczanie ze swoimi radnymi uzbrajali się na rynku; a trzeciego dnia po południu, zrobiwszy trzydzieści mil z okładem, stanął pod zamkiem murem w Brześciu Kujawskim. Strażnik spuścił most zwodzony z łańcucha, a inny sługa zaprowadził Marcina przed pana wojewodę Szarleja, na piękne, ogromne pokoje. Pan wojewoda odebrał list od niego, przeczytał go, uśmiechnął się i rzekł: — Umiesz się zwijać chłopcze! Widać, że niesłusznie z Kaszubów się naśmiewają u nas, ja-

koby oni żyli tam nad morzem jak krety, co światu nie lubią. W liście mi piszą, abym cię zatrzymał na zamku swoim do czasu, aż tu przyjedzie ten pan, który cię posłał.

Klasnął potem w dłonie: przyszedł sługa, który z rozkazu pana wojewody zaprowadził go do czeladnej izby, gdzie Marcinka hojnie nakarmiono i uczestowano słodkim, wystawnym wielkopolskim miodem.

Kiedy tak zajadał i popijał Marcin, wojewoda tymczasem wysłał śpiesznie konnego posłańca w drogę z tym listem i jeszcze drugim, który sam teraz napisał, a posłaniec z kopyta puścił się ku Krakowu do samego króla.

Upłynęło dni kilkanaście; wojewoda Szarlej wyjeżdżał często z zamku i coraz więcej garnął Kujawiaków około siebie: robił z nimi mustwę na wielkim dziedzińcu zamkowym, a Marcinek, który tymczasem miał zatrudnienie w stajni, przyglądał się pięknym wojennym obrotom. Kiedy już wojewoda miał z pięć tysięcy zebranych wojaczków, przybywa jednej nocy ów pan, co tu przysłał Marcina, a musiał przywieść od króla jakieś pismo czy rozkaz, bo nazajutrz zaraz z wojewodą i z wojskiem wyruszył w pole. Pan ten, jak już powiedzieliśmy, nazywał się Hans Bajzen; zabrał on na tę wypra-

wę i Marcinka, który od niego dostał pięknego dereszowatego konia i przy nim prowadził mu drugiego odwodowego.

Gdy wojsko wojewody Szarleja wyruszyło z zamku, trąby grały, kotły bębniły, wojsko śpiewało pieśń o Boga Rodzicy, maszerując w ziemię pruską; za kilka dni przybyli pod miasto Tuchol, pod którem kilka tysięcy niemieckich rycerzy stało; znać, czekali oni na wojsko wojewody. Przyszło do bitwy: Niemcy przegrali, pobici i rozproszeni zostali. Wojsko polskie zajęło miasto. Kiedy wjeżdżali w ulicę, to radowali się niezmiernie mieszczanie pruscy, a kiedy zobaczyli na końcu jadącego na deresz Marcinka w swym kozuchu dziwnym, z dwóch owczych skórek zszytym, a przy tym kozuchu zobaczyli miecz długi, wtedy wszyscy do rozpuku się uśmiali z takiego rycerza. Stało się bowiem, że Marcinek po bitwie zobaczył, jak w rowie leżał zabity Krzyżak, więc zsiadł z konia, miecz odjął Krzyżakowi i sobie go przypasał. Jak widzimy, dotąd Marcinek nie wiele zrobił na wojnie: ale pójdźmy dalej.

Zabierało się na coraz większą wojnę; mieszczanie pruscy zaprosili króla i królowę do miasta Elbląga, i tam obojgu przysięgę wierności przed ratuszem, publicznie złożyli. Królem polskim był

wtedy Kazimierz Jagiellończyk, co był synem króla Jagielly. Zaraz też potem i wszyscy biskupi pruscy prócz jednego warmińskiego także królowi przysięgę złożyli; poddał się też Toruń i wiele innych miast; a wszędzie byli pierwsi do rady i do wierności królowi trzej bracia Bajzenowie: Hans, Gabryel i Ścibor.

Krzyżacy nie zasypiali także gruszek w popiele: choć oni mieli teraz tylko kilka miast pruskich w swoim ręku, ale mistrz ich Ludwik z całych Niemiec werbował wojsko dla siebie, a nawet i kilku Polaków miał wodzami u siebie; nazywali się oni: Kotowicz, Szumborski i Czerwonka. Gotowali się tedy Krzyżacy do zaciętej wojny, bo żal im było oddać Polsce napowrót tyle kraju, tyle miast i przeszło dwadzieścia jeden tysięcy wsi ludnych; żal im było i tylu pieniędzy, które im Prusy płacić musiały.

Król czując to dobrze, jak zacięta będzie wojna, zbierał grosz do kupy, ściągając wojsko i stanął obozem we wsi Cerekwicy pod miastem Chojnicami, a ztamtąd nakazał przez wici zwołać pospolite ruszenie ze szlachty wielkopolskiej. Wtedy bowiem sama tylko szlachta się biła; chłopci, że byli wolni od wojowania, musieli za to opłacać się z gruntów a później i pańszczyznę odrabiać szlachcie, która to

szlachta i panowie nadstawiali gardła za kraj cały.

W tej wojnie pruskiej, o której teraz mówimy, król nakazał pospolite ruszenie tylko na Wielkopolsce, to jest tam, gdzie dziś leżą miasta: Poznań, Gniezno, Kalisz, Sieradz, Łęczyca.

Miasto Chojnice w owych czasach nie było bardzo wielkiem, i miało same tylko domy drewniane, prócz zamku z wieżami, co był mocno zmurowany, a prócz tego opasywał je dokoła wysoki mur. Choć ono nie było wielkiem, ale leżało w bardzo ważnem miejscu: ztamtąd szedł gościniec do wielkich miast pruskich, do Malborka, do Gdańska i do Elbląga, i w mieście tem dużo rycerzy niemieckich stało na załodze, co swojemi stalowymi hełmami na głowie świecili z za murów. Ztąd też i król polski śpieszył się ze zdobyciem tego miasta, i krzyżacy bali się go utracić, bo ono było, jak to powiedzieć, prawą ich ręką. Król prócz wojewody Szarleja, przywołał do siebie i kanclerza Jana Koniecpolskiego, a prócz tego przybyło mu jeszcze 5,000 Litwinów. Z drugiej strony w Chojnicach dowodził krzyżacki rycerz Henryk Plauer, a przytem z dziesięcioma tysiącami zwierzbowanych Niemców nadciągał Szumborski, Polak, co zdradnie

przyjął służbę u Krzyżaków. Naturalnie, że pod Chojnicami w obozie przy wojsku Szarleja był także w tyle między służbą i nasz Marcin Mrąga, co na krok nie odstępował swojego pana, Hansa Bajzena.

Zaczęło się oblężenie Chojnic na początku Września 1454 r. Wojska polskiego było by mrowia, tylko ładu i karności niewiele, bo szlachta wielkopolska, hałasując i nie sobie nie robiąc z tej garstki Niemców co Chojnic broniła, ani też z tych dziesięciu tysięcy, co szły na pomoc miastu, szlachta ta, zamiast iść w pierwszych szeregach do szturm, wykrzykiwała tylko:

„Że batami swoich furmanów nieprzyjaciół rozpędzi.“

Zobaczmy zaraz, czy Pan Bóg przepuścił im tę zarozumiałość i pychę.

Tymczasem król kazał strzelać z armat do miasta; ale co we dnie kule uszkodziły w murach, to Krzyżacy zaraz w nocy naprawić potrafili, i szło jakoś naszym upornie. Raz, było to z rana, król rzekł do Hansa Bajzena, który był doradcą króla:

— Cóż waszmość myślisz o tej wojnie, czy damy radę lub nie Krzyżakom?

— Najjaśniejszy Panie! odpowiedział Bajzen, dobrze tam iść nie musi, gdzie swoi na swoich idą. Oto, jak słyhać, Kotwicz nadciąga z Krzyżakami

a i w innem miejscu także jest kilku poddanych Waszój Królewskiej Mości, co nieprzyjaciołom dowodzą.

— Cóż z tego waszmość sądzisz, pytał dalej król zamyślony, czy nas już przez to nieprzyjaciele żywcem zjeść mogą, że się paru zdrajców znalazło?

— Najjaśniejszy Panie! mówił znowu Bajzen, jest przypowieść taka: raz chłop jechał przez las a wioził na wozie mnóstwo siekier, tylko że jeszcze toporzysk nie miały. Kiedy to zobaczyły drzewa, zaczęły płakać i wyrzekać, że na tyle siekier, wszystkie teraz wyginą. — Nie bójcie się, powiedział dąb stary, te siekiery dopóty nam nie nie zrobią, dopóki w nie brat nasz, to jest dąb nie wlezie... Tak też i ja teraz sobie nieraz uważałem, że dopóty Krzyżacy Polakom nie nie zrobią, dopóki ich bracia między Niemców nie wleżą. Dlatego moja rada jest taka, aby choć jednego z nich sobie zjednać, na przykład Czerwonkę, wodza bardzo zdolnego. Brat mój Gabryel znał się kiedyś z nim dobrze, to on weźmie to na siebie.

— Pomyślimy o tem, rzekł król, ale patrz jeno waszmość, co znaczą ci konni gońce, co do obozu z całych sił pędzą?

Wkrótce z różnych stron przypędzili do króla

wysłańcy, z wiadomością, że Kotwicz z Krzyżakam pod Chojnice ciągnie.

— Do broni! do szeregów! zawołał król.

Porwało się wojsko do broni: jedni mieli baczność na mury Chojnic, a drudzy frontem szykowali się ku tej stronie, z kądem z lasów mieli się pokazać Krzyżacy. Nie długo też czekali. Za kilka godzin pokazali się z lasów rycerze niemieccy, a był to lud doborowy, na dzielnych koniach, a wszyscy błyszczeli stalowymi blachami na piersiach i hełmami na głowach. Widać tam było jakąś rażność w ich szeregach, i chociaż to Niemcy zawsze powolnymi bywali, dziś, znać, z rozkazu swojego żywszego dowódcy zatrąbili na bitwę, i choć polskich dwa razy więcej było, pierwsi na nich uderzyli z ogromnym pędem.

Król Kazimierz objeżdżał zwawo swoje szeregi, zachęcał do nieustraszonej odwagi i przyjął bitwę. Pierwsze szeregi polskie dzielnie się sprawiały, ale na prawem skrzydle szlachta wielkopolska, kiedy na nią oddział krzyżacki napadł, bijąc się słabo, zaraz pierzchała z placu na wszystkie strony, choć się jeszcze tak niedawno odgrazali, że biczami swoich furmanów Niemców rozpędzą. Znać źle robili, że z nadto lekceważyli nieprzyjaciela. Nic to jednak jeszcze nie znaczyło, Kujawiaki wo-

jewody Szarleja i szeregi litewskie były się dzielnie, gdy wtem znienacka z bram chojnickich wypadają Krzyżacy i z tyłu na naszych biją. Wtedy dopiero zrobiło się zamieszanie w szeregach polskich: wielka część padła wzięta we dwa ognie a reszta rozpierzchła się na wszystkie strony. Król napróżno zachęcał do wytrwałości. Za panami i ciury, to jest służba obozowa, zaczęli uciekać. Marcin, siedząc na dereszku, rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie swojego pana Bajzena zobaczyć nie mógł. Wtem widzi, jak w zaroślach kilku Niemców wypadło na polskiego jakiegoś rycerza: już są coraz bliżej niego, jeden z Niemców strzela, pada koń na przednie kolana, a z niego zlatuje rycerz na ziemię. Marcin pędzi w tę stronę na koniu i poznaje, że rycerzem tym był sam król Polski. Wyjął więc szybko z pochwy ów miecz długi, co go zdobył dawniej na krzyżaku, aby bronić króla, ale wprzód już przyskoczyło dwóch rycerzy polskich: jeden z nich Kazanowski zsiadł z konia i podał go szybko królowi a drugi uganiał się z trzema nieprzyjaciółmi. Król dosiadłszy konia rąbie się z nimi, pada jeden Niemiec, a gdy na drugiego naciera, trzeci tymczasem zaleciał z tyłu i już wznosił miecz, żeby naraz królowi ściąć głowę. Ale w porę przyskoczył Marcin, bo nim Niemiec spuścił miecz,

on go tymczasem swoim ostrzem pomacał nieźle po karku, że spadł i drugi rycerz Niemiecki z konia. Trzeciego zabił jeden z owych dwóch Polskich rycerzy. Kiedy już dokoła nieprzyjaciół nie było, a król z rycerzem popędził dalej, Marcin podjechał do tego, który ofiarował swego konia królowi i prosił go, aby usiadł na jego konia. Tak też rycerz zrobił, a Marcin siadł za nim, i tak trzymając go się w pasie oburącz, pędził w cwał ku stronom Kujaw.

Tak się skończyła nieszczęśliwa bitwa pod Chojnicami 18 Września 1454 r., dużo naszych padło, wielu poszło do niewoli i cały obóz Polski dostał się Krzyżakom.

Zapisane są tylko słowa króla w księgach, który rzekł po tej przegranej:

„Nie dam ja im długo cieszyć się z tego zwycięstwa.“

Jednak przegrana pod Chojnicami kosztowała bardzo dużo i Prussy i Polskę; Krzyżacy rośli na duchu i zabrali kilka miast bardzo ważnych w Prusach, a Polacy prócz wielu strat pozbyli się jeszcze kanclerza Jana Koniecpolskiego, który zmartwiony tem, jak mu szlachta wielkopolska umknęła z boju, umarł ze zgrzyoty. Wielu opuściło głowy, ale więcej jeszcze było takich, co mieli dobrą otuchę

w meztwie swoim i w sprawiedliwości Bożej. Pierwszymi do rady i do dzieła byli zawsze trzej bracia Bajzenowie. Za ich poświęcenie się i za wierność, król Kazimierz zrobił każdego z nich wojewodą na ziemi Pruskiej, którą, choć jeszcze nie całą odebrał Krzyżakom, jednakże nie stracił nadziei, że odbierze zupełnie, kiedy mu dopomagał sam naród pruski, co tak znienawidził Krzyżaków. Odtąd trzej bracia zamiast nazywać się Bajzenowie z niemiecka, zaczęli się pisać z polską Bażeńscy.

W roku następnym wojna na nowo się zaczęła: król zciągnął świeże wojska i zebrał tych, co się rozpierzchli, a Prusacy niemało żołnierzy dostawili z miast swoich i dworów szlacheckich.

Serce się rozradowało Marcinowi, jak się dowiedział, że król wyciągnie z wojskiem na Pomorze a więc i na Kaszuby, boć to każdemu miło być bliżej rodzinnego gniazdka. Ale niedługo się tą myślą cieszył, bo się dowiedział wkrótce, że Hans Bajzen, któremu Marcin przyrzekł wierność i posłuszeństwo, w inną go drogę ma wysłać. Zjechali się oni u wojewody w Brześciu po tej nieszczęśliwej bitwie Chojnickiej. Znalazł się tam zaraz i brat Hansa, Gabryel, który co tylko przyjechał od króla.

— Czegóż tak smutny, Marcinie? zapytał go

raz pan Gabryel, gdy wszedł z bratem swoim Hanssem do ogrodu zamkowego w Niedziele.

Marcin, siedzący pod jaworem zadumany, powstał i rzekł:

— Jak nie mam być smutny, kiedy mi się już moja kaszuba przez te dwa lata do szczętu podarła.

— Jakto? zapytał Hans, czy ze swojego żołdu nie możesz nic odłożyć na kupno innego kozucha?

— Bogu dzięki! z łaski pana mam nieco grosza w kalecie, ale ja tu w tych stronach nigdzie tak dobrze uszytej kaszuby nie znajdę, tylko na jednej kaszubskiej ziemi umięją szyć jak się należy dla nas ubranie, a za nic też w świecie obcego stroju na siebie nie włożę.

— No, no, nie frasuj się dobry Marcinku, rzekł pan Hans, jak wrócisz do swojej ziemi, to się nachodzisz do syta jeszcze w kaszubie. Dziś nawet musisz się przebrać w niemieckie odzienie, żebyś jak prawdziwy Brandeburg wyglądał. A czy umiesz ty po niemiecku?

— Umiem tylko: gut Morgen, gut Nacht i Gott zai Dank!

— To i to nieźle, mówił dalej pan Hans. Przebierzesz się tedy w niemiecką sukmanę w zamku, a oto jest karta bezpieczeństwa od dowódcy niemieckiego Czerwonki. Nie stawaj też nigdzie na

noclegu. Za tą kartą przepuszczą cię wszędzie żołnierze niemieccy, a o drogę pytaj się tylko swajaków.

Przytém zabierzesz z sobą w torbę niezgorszą kupkę pieniędzy.

Poszedł potém Marcin z obudwoma braćmi na zamek, tam się przebrał, odebrał list i pieniądze dla dowódcy Czerwonki, a w końcu dostał téż dla siebie strawne na drogę od obudwu braci Bajzenów; więc przeżegnał się, nacisnął swoją baranią czapkę na uszy i puścił się z kopyta ku miastu Malbörgowi. Za dwa dni stanął szczęśliwie pod tem miastem, które leży nad lachą, to jest odnogą Wisły, zwaną Nogatem. Straże niemieckie wszędzie go puszczały, jak tylko zobaczyły kartę z podpisem wodza Czerwonki. W zamku malbörgskim zastał tego dowódcę, ubranego w błyszczącą zbroję, jak coś uważnie w papierach przeglądał, a papiery te z napisanemi miastami, z nakreślonymi rzekami i górami nazywały się mapy, co każdemu dowódcy potrzebne są do wojny.

Pan Czerwonka odebrał szybko list od Marcina, przeliczył dukaty świecące, co w torbie były i poklepawszy Marcina po ramieniu, rzekł do niego:

— Jesteś zuch chłopcze! Zostaniesz tu w zamku dopóty, dopóki się nie zobaczysz ze swoim

panem; tymczasem będzie ci tu dobrze. Został się tedy Marcin w zamku, a jak mu pan Czerwonka przykazał, nie wychodził nigdzie na miasto. Tymczasem też pan Czerwonka wysłał posłańca jakiegoś, a jak się Marcin przyglądał z wieży, to widział, że posłaniec puścił się tą samą drogą, którą właśnie Marcin do Malbarga z Brześcia Kujawskiego przyjechał.

Król Kazimierz Jagiellończyk, chcąc zwawić wojnę prowadzić, zwołał znowu pospolite ruszenie pod jesień, ale jakoś znowu szło mu upornie: szlachta się leniła, a rycerzy Niemcom coraz więcej z całego świata się zbiegało. Kilka miast jednak odebrał; następnego roku król pojechał do Gdańska i z tamąd kierował wojną: szło mu teraz jakoś lepiej, więc szybkim marszem podsunął się pod obronny Malborg, gdzie były roje Krzyżaków, którymi dowodzili, ów Czerwonka i sam wielki mistrz Ludwik. Gdy król stanął z wojskiem pod murami Malbarga i przypuścił szturm, nagle otwiera mu się jedna brama, a z niej wyszedł Czerwonka ze swoimi ludźmi i odkrywając głowę, złożył swój miecz królowi pod nogi, prosząc go, aby mu wybaczył. Po tém zdarzeniu król wpada do miasta, z którego drugą stroną wybiegł z resztą wojska mistrz Ludwik, a jak piszą w księgach, tak był zły, że aż rozplakał się ze złości.

III.

Marcin Mrąga spada z murów Malbarga; a potem jedzie na Kaszuby i znajduje kwiatek paproci.

Z wojskiem królewskim przybyli znowu bracia Bajzenowie czyli Bażeńscy, t. j. Hans czyli Jan, Gabryel, a nawet trzeci i dzielny wojak Ścibor był wtedy z wojskiem polskim. Bracia ci, zobaczywszy Marcina, powitali go radośnie i wzięli do swojej kwatery.

Gdy Marcin wszedł w rozmowę z panem Hanssem w mieście Malbörgu, tak się w końcu do niego odezwał: Już teraz dłużej tu nie zostanę, przez cały ten czas byłem tu jak w jakimś więzieniu i nie widziałem żadnej pocziwnej duszy, bo tylko sami rycerze krzyżacy snuli mi się przed oczyma. Jeżeli pana łaska, rzekł do Bajzena, to niech mi pozwoli przypasać miecz do boku i zrzucić z siebie tę obcą sukmanę, co mnie pali jakby jakie zarzewie; a patrzeć też z założonemi rękami na drugich, jak wojują, to lepiej pierze skubać za piecem.

— Dobrze, rzekł pan Hans, niech ci Bóg pomaga! Zostań wojakiem. Żebyś zaś był przekonany, żem o tobie nie zapomniał, to ci nawet sam miecz do boku przypaszę, ale wiesz, jaki? Oto ten, coś go to na krzyżaku pod Tuchelem zdobył, a który ja tyle mil dla ciebie wiozłem.

— A ja znowu, proszę cię Marcinku, rzekł pan Gabryel, pójdz ze mną, ale wiesz gdzie? Oto do samego króla. Dopytywał on się o tego, kto się przyłożył z dwoma innymi do ocalenia życia jego w zaroślach pod Chojnicami. Teraz wie już odemnie, że to ty byłeś tym junakiem; więc pójdz za mną.

Rzeczywiście, na zamku zdobytym czekał na Marcina Mrągę król, jeszcze ubrany w złoconą zbroję, jak gdy był w boju, i gdy się zbliżył Marcin i przykląkł na lewe kolano, jak to było w zwyczaj, król go podniósł i uścisnął mu serdecznie rękę przy wszystkich rycerzach i wielkich panach, co stali dokoła w sali. Król potem rzekł:

— Proś, o co tylko chcesz, a wszystko mieć będziesz.

— O jedną tylko proszę łaskę najmiłościvszego króla, rzekł Marcin: oto nad jeziorem Gardenskiem jest zagroda rybacka z ogrodem. Tam się mój dziadek i ojciec rodził i tam pomarli; teraz

stoi ona albo pustkami, albo też kto inny z niej daninę opłaca książęciu do Słupia. Byłbym szczęśliwym, żeby tę zagrodę zatrzymano dla mnie do tego czasu, aż Bóg da, że szczęśliwie z wojny powrócę, i abym ją wtedy mógł odkupić od księcia.

— Nie potrzeba tak długo czekać, rzekł król, jutro zaraz wyślę posłańców z pieniędzmi i zakupią dla ciebie od księcia Słupskiego tę zagrodę i jeszcze spory kawał ziemi do koła.

Skłonił się z wielką wdzięcznością Marcin królowi i odszedł ze swym panem, który go teraz w ubiór wojacki ustroił.

Kiedy król wyciągnął z wojskiem z Malborga w inne strony i zostawił w nim dowódcę Szumborskiego na załodze, ten zdradził króla i miasto oddał Krzyżakom; tylko zamek wiernie się trzymał strony królewskiej.

Ale kiedy królowi przybyło na posiłek sześć tysięcy nowej jazdy z Wielkopolski, wtedy znowu pobił Krzyżaków na polu i Szumborskiego ująwszy, kazał go śmiercią ukarać. Po niejakijs przerwie król z nowym szczęściem wojował; w zaciętej bitwie tak pobił krzyżaków, że sam ich wielki mistrz zaledwie z duszą uciekł, a miasto Malborg po długim oblężeniu zdobył nanowo. Było to w lecie 1460 roku.

Zdarzyło się, że kiedy do tego miasta szturm przypuścili polscy, Marcin był w pierwszych szeregach i szedł na mury ze swoim dobroczyńcą Hanssem Bajzenem, co teraz już był wojewodą. Przystawiono drabki do muru: jedni strzelali, drudzy z toporami i mieczami drapali się na mury. Już też Marcin był u saméj góry, gdy jakiś ogromny, brodaty Krzyżak wyskoczył z ukrycia i tak silnie w głowę mieczem pomacał po żelaznym kaszkiecie Marcina, że mu go rozciął, a sam Marcin zakrwawiony spadł z drabki na ziemię i złamał sobie nogę. Pokazało się, że cięcie w głowę było nieszkodliwém; Marcin był tylko odurzonym przez nie, ale gorsze było złamanie nogi. Gdy biedaka z rowu pod murem wyciągnięto, cierpiał mocno; zaraz też jakiś Węgier cyrulik zestawił mu kości, i nogę dał w łupki. Kilka tygodni nie mógł nią ruszyć; a gdy już począł wstawać, dostał wiadomość od Hansa Bajzena, że pociągnął z królem na dalszą wojnę ku Wielkopolsce. Przysłał mu też pieniędzy, aby sobie najął wózek i pojechał na odpoczynek i na zupełne wyleczenie się do Kaszub, jeżeli zechce do rodzinnych stron swoich zajrzeć. Kazał mu też jeszcze powiedzieć, że znowu się z nim zobaczy, choć sam nie wie, kiedy.

Ucieszony Marcin, choć trochę jeszcze chromał

na nogę i kijkiem się podpierał, wyszukał sobie wózek i puścił się ku stronom rodzinnym w swoim żołnierskim ubiorze, a ów krzyżacki miecz złożył przy sobie na wózku. Tak jechał przez góry i lasy, przez mosty i piachy i drugiego dnia był o jakie 8 mil od Malborka, ale już na kaszubskiej ziemi. Serce mu biło gwałtownie, rozglądał się po wszystkich stronach, bo to tak miło ujrzeć znowu ojczyste strony po długim ich niewidzeniu! Tu witał on znajome kościołki i wioski, tam lasy, strumienie, i wszędzie spotykał już ludzi ubranych w te kożuchy, co to pod szyją spięte, głównie z dwóch tylko owczych skór się zszywają. A on już sześć lat tego wszystkiego nie widział, a zmienił się też wiele, bo i zmężniał i wąsy mu duże urosły...

Kiedy tak przez dwa dni jechał, utrudził się bardzo, bo zupełnie jeszcze nie wydobrzył po chorobie. Musiał też nadłożyć parę mil drogi, żeby opuścić Bytow, bo na Kaszubach znowu Krzyżacy zajęli to miasto i trzy inne, a to przez zdradę jednego pomorskiego księcia. W tamtych czasach drogi były daleko gorsze niż teraz, to też nie mógł jechać dalej, bo ból w nodze zaczął mu coraz bardziej dokuczać. Kazał zwolnić kroku koniowi, a było to w wielkim lesie, a tu słońce dopieka, bo jechał w Czerwcu, w samą wigilię św. Jana, a nigdzie ani wioski,

ani karczmy przydrożnej! Jechał tak krok za krokiem, aż wtem na zakręcie zabielał się biały domek, a przed tym domkiem był piękny ogródek, a w tym ogródku dziewczyna w białej sukience zajęta była pielaniem chwastu w grządkach czerwonych maków i żółtych słoneczników. Za chałupką na łące zielonej stało ze trzydzieści ulów, około których pszczoły rojnie brzęczały. Dziewczyna obrócona tyłem nie spostrzegła, jak po piasku, tuż, drogą nadjeżdża wózek z woźnicą i Marcinem; pracując ciągle, śpiewała ona bardzo miłym głosem tę kaszubską piosenkę:

Moja pani matko,
Chowajże mnie gładko,
Od niedzieli do niedzieli,
Jak czerwone jabłko.

Przestała śpiewać, złożyła ręce przed siebie i z westchnieniem rzekła:

— Miły Boże! ja śpiewam o matuli, a matula już dawno leży pod mogilką...

Ale po chwili zaczęła znowu pracować: wesołość wróciła i nieznacznie znowu nucić zaczęła:

A ty kwiatku lewandowy,
Nie spadnijże z mojej głowy,
Bo ke te rez spadniesz,
To wici se ne usadniesz!

(Znaczy to: Bo jak ty raz spadniesz
To więcéj się nie usadowisz).

— Boże dopomóż! przemówił Marcin z kaszubska do pracującej dziewczyny.

Ona się obejrzała i odpowiedziała także tą samą mową:

— Daj Panie Boże!

— A czy nie możnaby tu mnie choremu odpocząć w waszym domku? zapytał znowu Marcin.

— A czemu nie? Tylko muszę tatulowi wprzód o tém powiedzieć.

Poskoczyła za chałupę ku ulom i zaraz téż przyszedł z nią dosyć już podstarzały, o siwych włosach Kaszuba, który miał nóż i przetak w ręku; zapewne coś koło uli robił, bo, znać, był pszczolarzem.

Przywitali się potem i za chwilę pszczolarz dopomógł zejść z wózka Marcinowi; poprowadził go téż zaraz do chaty, gdzie już dziewczeczka prześcielała łóżko dla chorego gościa. Pocziwy gospodarz, który się nazywał Michał Kowalka, poradził Marcinowi, aby odesłał wózek, bo jak się na siłach pokrzepi, to przyrzekł go sam edwieźć swojemi końmi do rodzinnego miejsca. Usłuchał porady Marcin, bo zresztą tak był strudzony drogą, a ból w nodze tak mu dokuczał, że nie mógłby nawet na drugi dzień dalej pojechać. Kiedy się położył na łóżku,

cały w gorączce, po niejakiś czasie zasnął. Dziewczyna tymczasem ugotowała dziewanny do picia choremu, jak się przebudzi; osłodziła ziółka miodem, a z wosku jakiś plaster przysposobiła na przyłożenie do zbolałej nogi Marcina.

Już było parę godzin z wieczora, kiedy jakieś śpiewy ze dwora doleciały do uszu Marcina. Ocknął się, spojrzął po izbie: w komorze chrapał gospodarz, a przy kominie siedziała dziewczyna i doglądała, by ziółka stojące w garnuszku przy ogniu nie wykkipiały. Jak tylko posłyszała, że Marcin się poruszył na łóżku, patrząc po izbie, zaraz zbliżyła się do niego pocichu i zapytała się:

— Może się napijecie dziewanny osłodzonej miodem?

— O, tak, bardzobym rad się napił, rzekł Marcin, bo mam spalony język od gorączki.

Wtedy podała mu napój, a potem troskliwie przyłożyła plaster na chorą nogę.

Marcin wdzięczny jęł do głębi serea, miał teraz czas lepiej przyjrzeć się dziewczynie. Miała ona jasne, błyszczące jaklen włosy, i wesołe, pełne szczerości duże oczy, jakby dwa kwiaty modraku. Zresztą nie była ona bardzo urodziwa, ale dobroć jęł tak chwyciła za pocziwe serce Marcina, że zdawała mu się teraz tak piękną, jakby anioł w ko-

ściele. Uścisnął ją szczerze za rękę, dziękując za opiekę i zapytał:

— Jak ci na imię, moja dobra dziewczynko?

— Basia, odpowiedziała, i odeszła do pieca, gdzie usiadła na ławie.

— Czy to już matki nie masz, Basiu? Zapytał się znowu Marcin.

— Już dwa lata, jak umarła, odpowiedziała smutnie.

Wtem śpiewy na dworze dały się znów słyszeć, a przez wyględy (okienka) chałupy było widać zdala jakieś stosy ogni w kilku miejscach za lasem.

— Cóż to znaczą te śpiewy i te ognie?

— Jako? czyście już zapomnieli, odpowiedziała Basia, że dziś wilija św. Jana, że dziś w nocy palą sobótki chłopcy i dziewczęta.

— Bodajże cię! co to znaczy wojenka! rzekł zawstydzony Marcin, przez sześć lat wojowałem i przez to zapomniało się o zwyczajach naszych wiosek. Szczęśliwi oni! mówił dalej, i ja tak za dawniejszych lat, kiedy byłem chłopcem, tak samo śpiewałem, tak samo z drugimi opasywałem się bylicą, paliłem boże-drzewko, rosiczkę, dziewannę i inne święte zioła i przeganiałem bydełko przez ogień i sam przez niego przeskakiwałem. Dziś możeby mnie to już nie bawiło. Nasłuchałem się już innej muzyki,

innych śpiewów przez owe sześć lat; a jak raz skończyłem z murów, to aż do tego czasu czuję to dobrze w mej nodze. Ale cóż to? jakoś już ustali śpiewać, co to znaczy?

— Bo teraz już północek, odpowiedziała Basia, oto koguty pieją; teraz kto odważny, ten się zostaje w lesie i szuka szczęśliwego kwiatka paproci, co to raz tylko do roku, dzisiaj, o północy kwitnie.

— Mój Boże! jacy oni niemądry, pomyślał w duchu Marcin, oni szukają szczęścia w kwiatku, a przecież to na szczęście człowiek sam w świecie między ludźmi zapracować może. I nie wiem kto teraz szczęśliwszy, czy ten, co tam w lesie durzy się znalezieniem cudownego kwiatka, czy ja, kiedy mam przed oczyma taką urodziwą i taką dobrą dziewczynę?.. Kto wie, może ja już w tej chacie znalazłem kwiatek paproci?..

Nazajutrz rano wszedł Marcin w rozmowę ze starym Kowalką, a czując się zdrowszym, musiał mu opowiadać o swoim ojcu, potem o całej wojnie pruskiej i o trzech braciach Bajzenach, i o królu Kazimierzu i o sobie samym, jak króla uratował i jak przyszedł do tego, że będzie miał teraz własną zagrodę z kawałkiem pola. Po obiedzie znowu go się wypytywał Kowalka o wszystkim, bo był bardzo ciekawym, jak się to tam wiedzie polskiemu

wojsku, więc też i pokochał bardzo Marcina, że tak gracko się zwijał na wojence, bo i on, jak każdy Kaszuba, nie cierpiał Krzyżackich Niemców.

Musimy tu z jednego grzechu Marcina wydać. Po trzech dniach czuł on się już prawie ze wszystkim zdrowym, bo dziewanna i plastry woskowe były doskonałemi lekarstwami, a tak dobrego i gładkiego doktora, jak Basię, przez całe życie jeszcze nie widział; ale choć już był tak zdrowym, że mógł dalej jechać ku domowi, nie przyznawał się do tego i udawał jeszcze cierpiącego. Żał mu było tak prędko opuścić Basię i jej rękę, którą tak często ścisnął serdecznie, kiedy mu napój z ziółek podawała, a czuł też dobrze, że swoim dłuższym pobytem nie uprzykrzy się gościnnemu Kowalce.

Tak upłynęło dziesięć dni; aż jednego poranku, kiedy Kowalka poszedł obejrzyć ule, czy się gdzie pszczoły nie roiły, Marcin dłużej nie mógł już wytrzymać, ażeby się nie wygadać przed nim z tem, że sobie bardzo upodobał Basię i chciałby ją mieć za żonę. Kowalka też upodobawszy sobie Marcina, odpowiedział łaskawie:

— Toć to ludzka rzecz, kiedy się młodzi kochają; jak zajedziecie do domu, da Bóg, przy dobrem zdrowiu, to wyślecie swatów do Basi, i zobaczymy,

czy ona ich z chęcią przyjmie, bo przyniewalać dziecko do żeniaczki to bardzo niedobrze.

Mówił tak tylko Kowalka, bo i on już dostrzegł, że Basia na każde słowo Marcina rumieni się niby jakie jabłuszko. Marcin też był już prawie pewny swego, i zaraz na drugi dzień wyjechał ku swojej zagrodzie, co ztąd o jakie pięć mil jeszcze była daleko, precz, tam, ku morzu.

Jeszcze tego samego dnia przyjechał do gaju dębowego, co stał przed jego osadą rodzinną; ale jakże się zdziwił tem, co tam zobaczył! Na chałupie dach był ze wszystkim nowo pokryty; na około podwórka płot ze świeżych tarcic bielał; przed sienią nie było już po dawnemu kupy śmieci i mierzwy, ale żółtym piaskiem ziemia wysypana, a z boku nade drogą świeciła kapliczka nowa, w której święty Jan, ubrany w stułę i białą komżę, krzyż z Panem Jezusem piastował na ręku. Marcin nie wiedział, co jeszcze o tem wszystkim myśleć; a może to kto zakupił dla siebie tę osadę, może król zapomniał o obietnicy swojej przy tylu kłopotach wojennych?... Wjechał na podwórko: aż tu wychodzi z chaty jakiś starszek o kiju i pyta się Marcina, coby był za jeden? Kiedy mu Marcin powiedział swoje nazwisko, wtedy rzekł starszek z radością składając do nieba ręce:

— Chwała bądź Bogu w Trójcy Jedynemu, że-

ście przecie z pod kul i z pod mieczów szczęśliwie wrócili; a toć to wszystko już wasze do koła: i te zabudowania i obórka z bydełkiem, co je zaraz obaczycie, bo pastucha wygnał je na trawę; ba! już wraca nawet, bo oto ryczą krówki het! w gaju.

Marcinowi łzy stanęły z radości wielkiej i tej myśli, jak to dobry król święcie i tak hojnie dotrzymał danego słowa; a potem, kiedy już zobaczył kilkanaście sztuk bydła, zapytał się staruszka:

— Jakto? i ta kaplica i to nowe poszycie i tyle bydełka! to wszystko dla mnie?

— A prócz tego, rzekł starzec dwanaście morgów pola i ten gaj dębowy i łąka dość spora: wszystko to król przez posłańca zakupił u księcia Słupskiego i kazał tak przystroić, jak widzicie, z tym warunkiem, aby tu ktoś pilnował waszego gospodarstwa, aż powrócicie szczęśliwie. Więc też przysłał tu mnie z tym oto pastuszkciem.

Marcin przedewszystkiem poszedł do kapliczki i tam uklękawszy, modlił się gorąco i dziękował Panu Najwyższemu za tyle dobrodziejstw. Potem obchodził swoje gospodarstwo, a nazajutrz raniutko poszedł na cmentarz poblizki i tam na grobach ojca i matki zmówił pobożnie pacierze.

Żeby długo się nie rozpisywać, powiemy, że swatowie, których Marcin posłał do Basi, przyjęci

byli przez nią mile. Ułożono się, kiedy mają być zapowiedzi i kiedy ślub się odbędzie. Jak już trzy zapowiedzie wyszły w kościele, Marcin zjechał do wsi Strzepce, co była niedaleko od osady Kowalki, w Wejerowskim obwodzie; tam stanął w sołtysa i odbrał sobie z niego družbę, a jak na Kaszubach mówią „Starego“. Basia ze swojej strony także sobie swojego obrała. Na drugi dzień miał się ślub odbyć, więc jeden i drugi Stary poczęli już spraszać gości na wesele. Byli to wcale jeszcze niestarzy ludzie ci družbowie: ubrali się oni w świąteczny ubiór z zielonemi bukietami na czapce i u boku, a ozdobionemi w blaszki złożone i w trójbarwne wstęgi; wzięli też w ręce kije podróżne w kwiaty ustrojone. Tak ubrani; zaczęli po wsi gości spraszać, a przemawiali, jak to i wszędzie bywa, żartobliwemi, wyszukanemi słowami.

Państwo młodzi przytem wybrali sobie jeszcze z meżatek, każde dla siebie, po jednej tak tam nazwanej „przedance“, co się ustroiły w białe rańtuchy u głów przypięte.

Kiedy już sproszeni goście przyszli do domu Basi, to ich uczęstowano chlebem jasnym jak słońce, masłem żułciutkiem i wybornym miodem do picia, a potem obaj Starzy zawiedli pieśń czysto po polsku, co się tak zaczyna:

„W Imię Boże! zabierajmy się w drogę.“

Basię pobłogosławił Kowalka, a Marcina w chacie sołtysa przeżegnał ów staruszek, co go to w swej zagrodzie zastał Marcin, bo on mu teraz niebószczyka ojca zastąpił. Potem z obu domów goście rano pojechali do kościoła, i na cmentarzu zeszli się wszyscy. Do kościoła najprzód wszedł Stary pana młodego z podniesioną swą laską; za nim wszedł pan młody z krewnymi swymi; potem panna młoda i przedanki, a w końcu reszta sproszonej gości.

Po ślubie wszyscy razem pojechali do domu sołtysa w Strzephach, gdzie częstowano ich piwem, chlebem, masłem i śledziem. „Starzy“ za to wyliczali podatek dla gospodarza, a wszyscy mężczyźni musieli go zapłacić; przez cały ten czas panna młoda siedziała, wedle zwyczaju, na węgle izby z przedankami. Na noc zjechali wszyscy do domu Marcina jako do przyszłego mieszkania państwa młodych. Nim jednak weszli do izby, musieli, według zwyczaju, w pierw pukać do drzwi, a ze środka ktoś się odezwał:

— Kto tam?

— Przyjaciele.

— Nie, nie! Jeśli jesteście obcy lub Niemcy, wywieźcie się! Ale pytano się tylko tak, dla żartu, bo zaraz potem drzwi się otwarły.

Zagrano potem na lirze, taniec się rozpoczął a tymczasem przedanki odprowadzały pannę młodą do ślubnej komnaty, tam ją zamknęły i klucz z sobą zabrały, a z niemi rozeszli się i wszyscy goście. Rano przedanki komorę otworzyły i uprzątnęły izbę, Zeszli się znów goście, pan młody częstował ich chlebem a panna młoda orzechami, za które składano po kilka halerzy, (halerz mniej znaczył niż grosz dzisiejszy, a grosz pragski więcej był wart niż dzisiejszy złoty), zaś zamożniejsi dawali i srebrne pragskie grosze, bo taki na Kaszubach zwyczaj. Po wieczery weselili się wszyscy do nocy. Na trzeci dzień Marcin, jako pan młody, poszedł sam sprzątać swoich krewnych, a z nimi przyszły i zameżne kobiety po raz pierwszy, bo w dwóch dniach pierwszych niewolno na Kaszubach kobietom być na weselu. W niedzielę pan młody poszedł do wywodu, i na tem skończył się cały obchód wesela.

Młode małżeństwo było najszcześliwszem w świecie: kochali się szczerze, na niczem im też nie zbywało, wszyscy do koła ich szanowali, bo byli bardzo pocziwymi, a Marcin prócz tego zasłynął w okolicy jako dzielny wojak, co przez sześć lat dużo dokazał. Pocziwym też Pan Bóg błogosławił w domu, na polu i na wodzie, bo Marcin, z rodu rybak, bar-

dzo często dubasem wyjeżdżał na jezioro i piękne ryby łowił. Tak przeszło półtora roku; Bóg dał im synka; wesoły szczebiotka chował się bardzo ładnie, bawił się mieczem ojca, co wisiał pod obrazem Matki Boskiej na ścianie, i jeszcze więcej szczęścia do domu nad ciche jezioro przybyło.

Czy ono tak potrwa długo? — Zobaczymy.

IV.

Marcin pod murami miasta Pucka. Marcin rotmanem na morzu. Koniec wojny pruskiej. Drobne, a bardzo smutne zdarzenie w Gdańsku.

Wrócimy się na chwilę do tego czasu, kiedy król na nowo zdobył Malborg w roku 1460. Nie mogąc on dłużej bawić w tem mieście, zostawił tylko załogę swoją w zamku, i wyruszył znowu pod Chojnice, gdzie wciąż dużo się Krzyżaków mężnie broniło. Te Chojnice były prawie do ostatka nieszczęśliwe dla króla: przed sześciu laty przegrał on tam bitwę z winy szlachty wielkopolskiej, a i teraz szlachta znowu po dawnemu zaczęła robić rozruchy i dopuszczać się niekarności. Tymczasem też i nad morzem rzeczy szły nie dobrze, bo książę ze Szczecina na Pomorzu zmówił się z Krzyżakami i wydał im głównejsze miasta na kaszubskiej ziemi, to jest: Puck, Lewenberg, Bytów, a potem i Bielawę. Z tych miast najsilniejszy był Puck nad morzem Bałtykiem, co miał i twierdzę i wysokie mury do koła.

W tym czasie krzyżacy wiele miast na całych Prusach zdobyli, i wszędzie niedobrze szło Polakom. Wielu pruskich panów i mieszczan głowę już opuściło w smutku, myśląc, że się krzyżaków nie pozbędą na wieki; jedni tylko bracia Bajzenowie i kilkunastu innych rycerzy pruskich nie tracili nadziei, tylko pracowali ciągle nad tem, aby coraz więcej ludu na wojnę zbierać, a króla namówili, żeby się przeniósł bliżej krzyżaków do Malborga i zamtąd kierował tą długą i straszną wojną. Kosztowała ona już krwi i pieniędzy nie mało, a wiele miast i więcej jeszcze wiosek do szczytu spalono. Więc też król usłuchał dobrej rady, wziął się szczerze do dzieła, mieszkał czas niejaki w Malborgu, a potem w Toruniu przez całe lato zostawał. Tymczasem też na pomorską i kaszubską ziemię wysłał z wojskiem doskonałego wodza, Piotra Dunina, który wszystkie miasta kaszubskie i pomorskie znowu odebrał krzyżakom i kilka razy mocno ich pobił. Ten Piotr Dunin był to wódz dzielny, śmiały i szczęśliwy w bitwach, tak jak na przykład byli niegdyś Zawisza Czarny, książę Ostrogski, Jan Tarnowski, Sobieski lub Kościuszko. Jednego razu zapędził on się za krzyżakami aż nad jezioro Gardęńskie ku morzu, gdzie dziś wioska Smółsin leży. Z osady Marcina słychać było dobrze strzały i okrzyki wojenne, że aż miecz jego zadrżał na ścianie.

W owych czasach byli już w wojsku polskiem hussarze, czyli huzary, ale to nie to co dzisiejsi huzarze, opięci w spancerki; tamci hussarze do bitwy ubierali się w żelazne pancerze, czyli kaftany żelazne lub stalowe i wyłacane, mieli żelazne hełmy na głowie, u ramion skrzydła, to jest pióra sokole lub orle oprawne w żelazne pręty, a prócz tego w rękę trzymali dzidy na półpięta łokei długie, u boku pałasz krzywy, a u siodła wisiał koncerz długi, to jest miecz, którym przebijali leżącą na ziemi rozbitą piechotę. Prócz tego każdy z nich miał jeszcze długi sznur jedwabny zwinięty u siodła, za siodłem obrok i kubełek miedziany, tak że każdy taki żelazny rycerz ważył najmniej czterysta funtów. Ztąd też i konie musiały być mocne i dzielne a drogie, że każdy koń do pięćdziesięciu tysięcy złotych polskich kosztował. Na takie wydatki nie każdy szlachciec się pisał, bo czasem trzeba było i wieś sprzedać na umundurowanie się: ale jeżeli już półk hussarów stanął pod chorągwią i uderzył na nieprzyjaciela, że aż ziemia zagrzimiała, a skrzydła zaświstały, to nie było w świetle wojska, żeby mu się oparło. Była to, jednym słowem, ciężka, sławna jazda polska. Takich hussarów zobaczył Marcin z gaju dębowego, gdzie stał i przyglądał się zdala bitwie, a miał swój miecz w rękę, jakby cze-

kał na nieprzyjaciela. Żona jego, poczciwa Basia, przez ten czas trzymając synka na rękę, klęczała przed kaplicą świętego Jana i modliła się gorąco ze łzami.

Kiedy tak Marcin stał z mieczem w dąbrowie, widział już bitwę całą jakby na dłoni; coraz bliżej koło niego się bili; mały oddział oderwał się od głównej armii i wprost ku dąbrowie za uciekającymi popędził. Ci, co uciekali, byli to krzyżacy w liczbie może piętnastu; kiedy ich hussarze polscy dopędzili, zawrzała w tem miejscu straszna bójka. Wtém na ustroniu, tuż przy samych dębach, jakiegoś hussarza opadło dwóch krzyżaków: odcinał im on się dzielnie, ale w końcu byliby go zapewne zarażali krzyżacy, bo widocznie już ze zmęczenia słabnął, gdyby właśnie Marcin nie podskoczył z za drzewa w tę stronę i nie utopił miecza swojego w koniu krzyżaka. Krzyżak upadł wraz z koniem, że aż ziemia jęknęła; a drugi krzyżak widząc, co się dzieje, że teraz ma dwóch na siebie, szybko zwrócił cuglami i uciekł w gęste zarośle. Odetchnął teraz swobodnie polski hussarz, odkrył przyłbicę, to jest zasłonę z żelaznych kratek założył na hełm, i w jednej chwili dały się słyszeć dwa głosy zdziwienia:

— Marcin!

— Pan Hans!

Rzeczywiście był to Hans Bajzen, który aż tutaj na Kaszuby nad morze zapędził się za krzyżakami. Gdy serdecznie przywitał się z Marcinem i podziękował mu z całej duszy za wybawieniego od śmierci, wstąpił do domku Marcina, a krzyżaka związanego jako jeńca odesłał dowódcy Piotrowi Duninowi, co niedaleko po wygranej bitwie obóz rozłożył na szczerem polu. Marcin uczył pana Hansa kaszubskim chlebem i serem, orzechami i miodem, a wódki na szczęście wtedy jeszcze nie używano wcale. Pan Hans z radością powitał jego żonę Basię, synka i z przyjemnością rozglądał się po całym gospodarstwie tak ładnie urządzone.

Nad wieczorem odezwał się do Marcina:

— Przykro mi to przychodzi, ale muszę ci mój Marcinie oznajmić, że król powołał pod chorągwie wszystkich urlopowanych i tych co dla choroby leżą po kwaterach. Przekłete te krzyżaki! roją się jak owe myszy Popiela, co jednego przetniesz, to na jego miejscu kilku aż gdzieś tam z nad rzeki Renu przybywa. A i naszym też padło ludu nie mało, więc i żołnierzy potrzeba, a do tego tak dzielnych jak ty Marcinie. Zapewne też niedługo przyjdzie rozkaz do ciebie, abys się znowu do szeregów stawiał.

— Ha, ja się nie wymawiam, rzekł Marcin, pierwsza rzecz obowiązek, jaki człek z dobrej woli zaciągnął, a jak się raz wyszło na wojaczkę, to trzeba i do końca już dotrwać. A co Bóg na mnie dopuści, na to i Basia moja zgodzi się bez szemrania przeciw Jego woli, bo jest chrześcijanką.

Po chwili pożegnał się pan Hans z Marcinem i wsiadając na koń, rzekł:

— Do prędkiego widzenia się! i zniknął po zagajem.

Nie wiele już dni upłynęło Marcinowi w domu. Przez ten czas przygotował on zapasy na zimę dla żony i służących: a że to było już po zniwie, więc i sąsiek był nabitý zbożem i dla dobytku też było paszy pod dostatkiem. Odliczył potem kilkaset złotych, które sobie uskładał z wojaczki i z pracy przez półtrzecia roku i oddał to żonie, a przy sobie zatrzymał tylko tyle, wiele mu na podróż lub na jakiś nieprzewidziany wypadek będzie potrzeba, bo w szeregach już żołd wojskowy czekał na niego. Syneczka swego pieścił on jeszcze serdeczniej, a na żonę często ze łzą w oku spoglądał, ile razy spostrzegł, że miała oczy zaczerwienione od skrytego płaczu.

Nie trzeba i rozpisywać się o tem, jaki tam załcisnął za serce pocziwą Basię; kiedy mąż wyciągał na wojnę, dała mu poświęcany w Wejerowie

obrazek Matki Boskiej i odprowadzała go z synkiem daleko przez gaj dębowy i pola. Marcin też dopiero z żalu ochłonał, gdy już w szerszy świat wszedł i napotkał ciągnące wojsko Piotra Dunina.

Wszystkie teraz oddziały ściągały się z rozkazu króla pod miasto Puck, dalekie o jakie dziesięć mil od zagrody Marcina. Zebrało się dużo wojska o milę od Pucka, bo chmary krzyżaków wyszły z miasta na pole, aby wpierw na Polaków uderzyć, nim się wszyscy zbiorą. Prócz krzyżaków było tam kilka tysięcy najemnych Niemców, ale ci najemnicy wiecej rabunku niż wojowania patrzyli. Ze strony krzyżackiej dowodził niejaki rycerz Nostie i Fryderyk z miasta Ranenki, a ze strony polskiej ów znany nam już doświadczony wódz Piotr Dunin. Rycerz Nostie groził strasznymi karami najemnym Niemcom, jeżeli uciekać będą.

Przyszło do bitwy: zatrąbiono na trąbach, uderzono w bębny; oba wojska więcej jeszcze zbliżyły się do siebie, a las z pik sterczał w ręku Niemców. Wtedy skoczył szlachcic Jasiński, schylił się i mieczem pod piki uderzył, że aż brzękły w górze, a Marcin tymczasem chlastał mieczem po łbach najbliższych; przyskoczył też hurmem szereg polski i wpakował się najprzód w tę lukę, którą szlachcic Jasiński i Marcin zrobili. Zaczęła się siekanina

w prawo i w lewo: pierwszy Nostie, co się tak srożył, drapnął, a za nim i najemnicy na cztery wiatry uciekli. Lepiej się trzymali rycerze krzyżacy, ale na tych posłał Dunin hussarów, i ci zbili do szczeru jazdę niemiecką. W ucieczce rąbano i kłóto na wszystkie strony, tak że padło ich tam do kilku tysięcy. Sławne to zwycięstwo przypadło w dniu 17 Września 1462 roku. Cudem Opatrzności Piotr Jasiński i Marcin w tej bitwie krwawej ani jednego draśnięcia nie dostali.

W tym samym dniu oddziały Dunina pobiły krzyżaków pod Świeczem, Jasieńcem i nad rzeką Pyszą, i w tym samym roku wódz Czerwonka zdobył miasto Gołab'.

Upłynęło kilka miesięcy, w czasie których Polacy w mniejszych utarczkach bili krzyżaków; Marcin Mrąga wtedy sprawiał się odważnie i szlachta też wielkopolska zawstydziła się dawniej swej wojaczki i biła się dobrze razem z drugimi. Na każdym miejscu królowi szło dobrze, bo nawet i owe nieśczęśliwie Chojnice zdobył, wyrzuciwszy na miasto z armat wiele kul ognistych.

Razu jednego, kiedy wojsko Dunina stało pod Gnieznem i przystąpiło do oblężenia wielkich baszt i murów, przysła z Gdańska wiadomość do obozu, że krzyżacy na dwudziestu okrętach wojennych

płyną po morzu i chcą świeże wojsko na ląd wysadzić. Gdańszczanie wystawili już poprzednio w porcie na morzu, tuż pod samym Gdańskiem, dwanaście okrętów i te chcieli teraz wysłać przeciwko krzyżakom, ale prosili Dunina, aby im nieco wojska posłał, a nadewszystko ludzi obeznanych z morzem. W wojsku Dunina służyło kilkudziesięciu Kaszubów, rybaków, więc Hans Bajzen, co był także w obozie, doradził, aby zaraz udali się do Gdańska; oczywiście, że z nimi wybrał się w drogę i Marcin, a prócz tego jeszcze paręset dzielnych żołnierzy: wszystkich ich przyprowadził do Gdańska Hans.

Kiedy przybyli na miejsce, zobaczyli, jak w porcie na kotwicach stało pięknych, wielkich dwanaście okrętów, a na każdym z nich były wypisane nazwiska dużemi literami. Białe żagle były rozpięte, a maszty wysokie wiewały flagami to jest chorągiewkami. Umieszczono na okrętach wojsko, majtkowie zaśpiewali pieśń morską, a Marcin jako znający dobrze brzegi morza Bałtyckiego od strony Kaszub, został rotmanem, to jest sternikiem; jechał też na pierwszym okręcie i rudla czyli sterował. Czekali z tydzień u brzegów na morzu, aż też i doczekali się owych dwudziestu statków wojennych. Z obu stron uszykowały się statki do

bitwy w szeregach; z razu strzelano do siebie, rzucono dzidami, a w końcu okręt bił na okręt, rzucono z jednego na drugi haki, i tak zaczepieni bili się mieczami i cięli okręty toporami lub je podpalali. Po strasznej, zwawej bitwie, wygrały gdańskie okręty, kilka statków krzyżackich zostało zatopionych, kilka uciekło, a resztę zabrano i ludzi powiązano. Stało się to w końcu roku 1462.

Zwycięzcy z tej morskiej wyprawy wrócili z radośnemi śpiewami pod Gdańsk; wysiedli potem z okrętów, a otrzymawszy w zdobyczy do podziału to, co po krzyżakach zabitych na okrętach zostało z pieniędzy i drogich rzeczy, byli wszyscy bogaci. Zdarzyło się, że Marcin nierozważnie wszedł do szynku piwa, gdzie w kości grali, bo kart wtedy jeszcze u nas nie znano. Z początku przyglądał się tylko grze, ale później wzięła go chęć zagrać o pieniądze. Między grającymi był podchmielony, ogromny mieszczanin gdański, co z Brandenburgii przed laty do Polski przybył. Z nim zagrał się Marcin: przyszło do jakiejś sprzeczki, w czasie której zgrany i podpity Brandenburg tak się rozgniewał szalenie na Marcina, że porwał za siekiere, co w kącie stała, i uderzył go obuchem w same skronie. Marcin padł bez duszy na ziemię; trzeźwiono go, ale on tylko mógł już wyszepnąć: zonie odeślijcie moje pie-

niądze, szepnął jeszcze: Jezus Marya! i skołał. Zbrodniarza ukarano, jak na to zasłużył...

Gdy się o tém dowiedział pan Hans, zapłakał gorzko, bo szczerze kochał Marcina. Odwioł sam ciało nieboszczyka do rodzinnej jego osady, a pocieszając zrozpaczoną Basię, zostawił jeszcze w podarunku dla jej synka na przyszłą gospodarke sporo pieniędzy i sam się zajął pogrzebem. Ludzie okoliczni, wiedząc o czynach sławnych Marcina na lądzie i na morzu, usypali nad jego ciałem bardzo wysoką mogiłę.

Tak skończył z drobnego zdarzenia wojak, co go śmierć w tylu bitwach omijała! Gra w karty o pieniądze często miewa takie oplakane skutki...

Dodamy tu jeszcze, że w trzy lata potem król Kazimierz skończył szczęśliwie wojnę pruską, co 12 lat trwała, co 300,000 ludzi z obu stron zjadła, i w której krzyżacy do 18,000 wsi spalili w Prusach. Pokój zawarto w Toruniu i odtąd Prusy do Polski przyłączone zostały na długo.

Ogłoszenia.

PISMA LUDOWE.

I. Zorza pismo illustrowane dla ludu miejskiego i wiejskiego, wydawane rok 16-ty wychodzi co tydzień w jednym arkuszu druku, wraz z **Dodatkami miesięcznymi p. n. „Poradnik gospodarski dla mniejszych posiadaczy rolnych“**, w którym podawane są przystępne rady, przestrogi i wiadomości dotyczące poprawy gruntów, łąk, hodowli dobytku domowego, pszczolnictwa, budynków i t. p.

Zorza podaje prace zmierzające do oświaty ludu naszego na podstawach religijno-moralnych i narodowych. Kształcenie więc umysłu i serca ludzi pracujących ręcznie — jest głównem zadaniem Zorzy. Powieści i Opowiadania, Rzeczy Nauczające, Wiadomości dotyczące Potrzeb ludowych w ogóle, Nowości lud zająć mogące, Ceny zboża i Urozmaicenia, wszystko to wypowiedziane językiem czystym i przystępnym, stale wypełniają ramy Zorzy.

W kwartale II-m r. b. rozpocznie się w Zorzy druk **Dziejów Polski** przystępnie dla ludu naszego opowiedzianych. W każdym Numerze najmniej po 2 drzeworyty się dają.

III. Opiekun Domowych i Pożytecznych Zwierząt, pismo również tygodniowe ilustrowane, wychodzi rok drugi, w jednym arkuszu co tydzień.

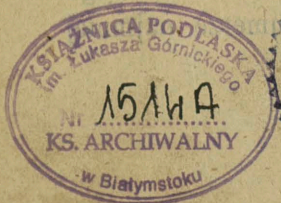
W każdym Numerze najmniej po dwa drzeworyty.

Opiekun podaje sposoby ulepszenia Hodowli zwierząt domowych, przyrządzanie dobrej Paszy, dobrego urządzania Obór, stajni i chlewów; środki Weterynaryjne; Opowiadania zajmujące i pouczające z życia zwierząt, wiadomości Bieżące i Rozmaitości. W roku bieżącym doda się bezpłatnie Mappa kuli ziemskiej dla prenumeratorów Opiekuna.

Kompleta (roczniki) tak Zorzy jak i Opiekuna z roku zeszłego, nabywać można po rubli 2 kop. 40, w miejscu, pocztą po rubli 3.

Cena Zorzy i Opiekuna jednakowa, to jest: w Warszawie po kop. 75 kwartalnie, półrocznie rs. 1 kop. 50, rocznie rs. 3. Pocztą — kwartalnie rs. 1, półrocznie rs. 2, rocznie rs. 4.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, N. 18 ulica Wspólna.



Miejska Biblioteka Publiczna

1810
w Białymstoku



4810_A

Red label